



4471

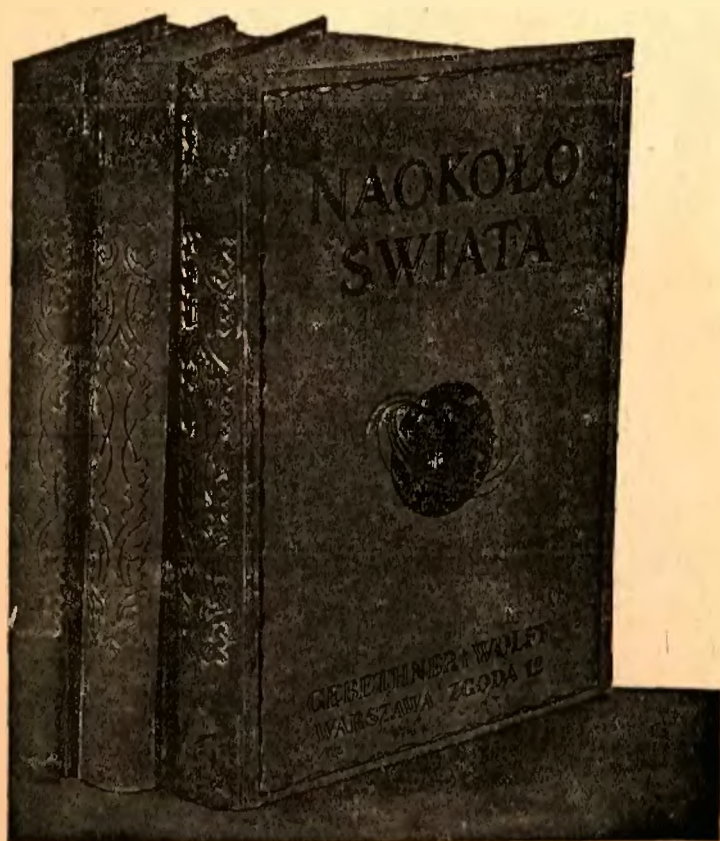


KASYNO POWSZECHNE
KRAKÓW, RYNEK GL. 18.

NAOKOŁO ŚWIATA. N°92

2.50zł

GEBETHNER i WOLFF



Płóciennie piękne, oprawy do miesięcznika «Naokoło Świata» (jedna okładka na 4 numery miesięcznika) — stale do nabycia w Administracji «Tygodnika Ilustrowanego» w cenie zł. 2.50 za sztukę, komplet (3 oprawy) zł. 7.50. Przesyłka polecona 1 sztuki — gr. 75. kompletu — zł. 1.

4471

KASYNO POWSZECHNE
KRAKÓW, RYNEK GL. 13.

1-IV-31-X 1931
1930-31
ZWIEKSZENIE
WYWOZU ZAGRANICĘ
SWIADCZY NAJLEPIEJ

WÓDKA
CZYSTA
WYBOROWA

WÓDKA
CZYSTA
WYBOROWA

WÓDKA
CZYSTA
WYBOROWA

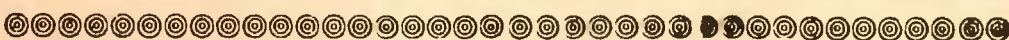
1929-30

Wysokości
gatuunku

Dobroć towaru najlepszą reklamą
Mleko-czekoladę odżywczą

p o l e c a

A. PIASECKI S. A.



UZNANA W CAŁEJ POLSCE ZA NAJLEPSZĄ
HERBATA z „KOPERNIKIEM”

ŻĄDAĆ WSZĘDZIE MIESZANEK N°N°: 190, 100 i 23

SKŁAD GŁÓWNY WARSZAWA BRACKA 23, FILJA MONIUSZKI 3

WARSZ. TOW. HANDLU HERBATĄ A. DŁUGOŁĘCKI, W. WRZEŚNIEWSKI

SP. AKC.



KINO W KAŻDYM DOMU

Bogata wypożyczalnia filmów niepalnych
 :: :: :: za minimalną opłatą :: :: ::

Wielki wybór najlepszych aparatów
 fotograficznych po cenach fabrycznych
 od zł. 36

Próbna demonstracja
 do kupna nie obowiązuje

Tylko w firmie:

JULIUSZ CABOCHE & Co

WARSZAWA, UL. SIENKIEWICZA 2,

TEL. 234-05

Prezent,
 który każdemu
 się podoba

Od
 zł. 145. -



Pathe-Baby



Dzieci na wycieczce
KASYNO POWSZECHNE
KRAKÓW, Rynek GL. 13.

Fot. S. Ringart—Łódź

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zima w całej pełni. Odczuwa to nasza cera, którą trudno ustrzec przed zmianami powietrza, mrozem, śniegiem i wiatrami. Radzę więc specjalnie zwracać na to uwagę, aby uchronić twarz i ręce i zachować delikatność i białosć. Do rąk radzę stale stosować *Krem Pralatów*, który wieierać zawsze po myciu rąk, a ręce zawsze będą gładkie i białe. Twarz myć na noc w ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridoweni*, i po wytarciu wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego*, oraz przypudrować *pudrem Abarid*. Jeszcze raz przypominam, że przy stałym użyciu *wyrobow Abaridowych*, twarz zawsze będzie gładką i bez zmarszczek, z odcieniem młodzieńczej świeżości. Rano nie myć twarzy, lecz odświeżyć watą zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa*. Włosów nie myć w zimie wodą, gdyż łatwo zaziębić skórę głowy, wskutek czego włosy się osłabiają i wychodzą. Do odtłuszczenia włosów i wymycia, radzę stosować *puder Florentin*, który wtrzępuje się we włosy, a następnie wyczesniej szczotką i gęstym grzebieniem. Jeżeli jest łupież, to bardzo łatwo go usunąć, stosując płyn *Tetral*, który jest radykalnym środkiem, i już po 2-ch—3-ch użyciach łupież ginie i włosy przestają wychodzić. Wszystkie te środki stosuję już od kilkunastu lat z powodzeniem i śmiało je polecam moim Czytelniczkom, będąc pewną, że wszystkie Panie, które je będą stosować, napewno będą zadowolone z osiągniętych rezultatów.

M-me Ercédes

Treść Numeru 92-go

Str.

<i>Jarosław Janowski:</i>	
List zimowy (6 ilustracji)	3—10
Co nowy rok przyniesie (8 ilustracji Z. Dunina) . .	11—14
<i>Dr. Aleksander Koffoński:</i>	
We wnętrzach wyspy szmaragdowej (8 ilustracji) .	15—26
Wynalazek na czasie (ilustracja E. Wierzbickiego) .	27—28
<i>Mieczysław Jarosławski:</i>	
Wyprawa fetysza (5 ilustracji)	29 40
Ilustracja	41—42
<i>Vit:</i>	
Ostatni mohikanie (3 ilustracje)	43 48
Co przyniesie w styczniu 1932 r. Naokoło Świata (1 il)	47—50
<i>J. Kotwicz:</i>	
Edison w anegdocie (3 ilustracje)	51—54
<i>K.:</i>	
Wielki przemysł guzikarski z muszli perłowej . . .	55—56
Ilustracje	57 60
<i>nj.:</i>	
Jak przełwać kryzys (10 ilustracji)	61—74
<i>M. Wasilewska:</i>	
Przyjaciółki (6 ilustracji E. Wierzbickiego)	75—92
Ilustracje	93—96
<i>M. Białęcki:</i>	
Film astronomiczny (1 ilustracja)	97—100
Marzenia ściętej głowy (ilustr. M. Walentynowicza)	101—102
<i>Józef Moszyński:</i>	
Panna Ewa Samochodzińska (6 ilustracji)	103—112
<i>W. P.:</i>	
W ojczyźnie diamentów (5 ilustracji)	113—120
Rozmaitości (6 ilustracji)	121 124
Ilustracja	125—126
Dział grafologa. Odpowiedzi	127 128
Konkurs Naokoło Świata	129—130
<i>Jar:</i>	
Świat pod innym kątem (5 ilustracji)	131—140
<i>W. Z-cki:</i>	
Pierwsza inflacja w Polsce (6 ilustracji)	141—148
Od Redaktora (1 ilustracja)	149—150
Dział grafologa. Odpowiedzi	151—152
Rozrywki umysłowe (9 ilustracji)	153 160

Okladkę kolorową wykonał M. Walentynowicz

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12 tel. 722-14

Telefon ekspedycji 704-32

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi

6 zł. 50 gr. zagranicą 10 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.

4471 NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 92

KASYNO POWSZECHNE GRUDZIEŃ 1931 R.
KRAKÓW, RYNEK GŁ. 13.



Zaczylana lalka

Fot. W. Miller—Warszawa

List zimowy

Napisał:

Jarosław Janowski

Już coraz bliżej. Coraz pełniej czuję zmianę atmosfery. Coraz głębiej napelnia płuca rzeżki powiew Tatr. Wreszcie włącza się pociąg na stację. Kres wędrówki. Zakopane.

Znów jestem wśród was, góry moje. Znów wdycham żywiczny balsam górskiego powietrza. Oko raduje się pyszną bielą śnieżnego świata.

Opada ze mnie, jak znoszona kurtka wszystek nałot miejskiego życia. A przede-wszystkiem — gasną codzienne kłopoty, zabiegi; blednie gorączka codziennych spraw. Już nie muszę śpieszyć się gdzieś nieustannie, „nie mieć nigdy czasu”.

Teraz nareszcie — mam czas. Teraz mogę dowolnie kierować swemi krokami. Przestaję chodzić zbiorowym korytem ulic i placów, wąską, wspólną rynną, dzień w dzień jednako rozkrzyczaną, rozbieganą, duszną i tłoczną.

Wiem, że wydają się w tej chwili trochę niesprawiedliwy i jednostronny. Natura potrafi także osaczyć nas monotonją, zdławić niezmiennym, niewzruszonym, powolnym rytmem swoich przemian. Wciąż ta sama droga, ścieżka polna, miedza, te same kamienie, ten sam krajobraz — to może również zbuntować człowieka, rozpalić w nim pragnienie odmiany.

Wszakże człowiek żyjący w bezpośrednim kontakcie z naturą nie ulega tak łatwo depresji, lęzom, chimeroom! Mieszkaniec miasta, o nerwach przewrażliwionych, o przytępionych zmysłach (wzroku, słuchu!) prędzej będzie pożądał czegoś nowego, łatwiej da się opanować nudzie.

Natura daje niemało rozumnej różnorodności wrażeń. Popatrzmy, jak po deszczu znajoma ścieżka nabiera innego charakteru, zielone talerze liści

i pióropusze traw ciemnieją, pojawiają się nowe rośliny, nowe pędy rosną, przyslaniając stare. Patrzmy pilnie, a zobaczymy w przyrodzie ciągłą, wieczystą przemianę.

— Za mało w tem efektu? — Z pozoru tylko, z pozoru.

Weźmy, z kolei efekty miejskie. Niewątpliwie. Miasto dostarcza wrażeń mocnych, ostrych, szarpających. Miasto gra nam na nerwach. Przedewszystkiem na nerwach. Zamienia nas wkońcu w szpulkę nerwów. Upaja, porywa w wir, miele i miesza w kotle o wysokim ciśnieniu. Trzeba mieć niełada wolę, nie hyle jaką indywidualność, żeby się nie dać zestandaryzować, nie stać jedną z fi-



Fot. A. Wiczorek

Motyw z „Drogi pod regłami”

gurynek, marjonelek, kierowanych zapomocą szpagatu niewidzialną ręką... Trzeba na to być... poetą, jeśli nie z profesji, to z uczucia.

Nie należy sądzić, że czynię tu łatwe przeciwstawienie polipa-miasta i eldorada-wsi. Nic podobnego. Dla mnie, zapewne, gorszym „polipem”, byłaby wieś, położona wśród beznadziejnie monottonnych równin, niż miasto z temi samemi wciąż sztyldami, twarzami, z tą samą scenerją dnia powszed-niego.

— Kwestja gustu, nastroju, a nawet struk-tury psychicznej... Nie ulega wątpliwości, że między nami a krajobrazem istnieje pewien



*Zakopane od strony
Gubałtówki*

związek duchowy. Jed-nemu odpowiada pej-zaż nizinny, inny za-chwycę się morzem, ów zaś czuje się do-brze pośród niebotycz-nych turni. Sympatje te są poniekąd wro-dzone, wszechpione zżyciem się z danem środowiskiem, poza tem jednak zależą nieraz od usposobienia i prze-żyć, które każą szukać takiego a nie innego otoczenia...

O harmonji między człowiekiem a przy-



Obłite śnieżne „czapy”

rodą decyduje w znacznej mie-rze zdolność współżycia z na-turą, adaptowania się do istnie-jących warunków. A z tem wła-

śnie jest bardzo nie-wyraźnie w mieście. Niby to są na wszyst-ko środki. Niby to na-tura jest nięta w kar-by. Ale...

Najkomiczniej przedstawia się mie-szczuch podczas śloty albo roztopów. Niech tylko funkcjonariusze łopaty i miotły zaniedbają zjawić się w po-rę i energicznie wpra-wić w ruch swoje na-rzędzia — z całą je-skrawością występuje bezradność mieszczu-cha wobec przyrody, brak umiętności przystosowywania się do warunków zewnętr-znych, brak... elastycz-



*Fot. A. Wieczorek
Narciarskie ślady*

ności. Tak jest! Chociaż tą elastycznością chlubi się człowiek współczesny...

Jakże niefortunnie wygląda obywatel XX wieku w zszarganym, schlastanym błotem ubraniu, jakże się czuje nieswojo w rozmiękłych, przemoczonych butach. Nie będzie przesadą, gdy powiemy, że niejednokrotnie szereg spraw doniosłych dla życia społecznego wzięłoby inny obrót, gdyby nie... mokre buty. Wiele wydarzeń zależy od naszego nastroju, nastroj zaś od naszego samopoczucia, to znów zaś niejednokrotnie od wygodnego obuwia, od odpowiedniego ubrania. Wyobraźmy sobie eleganckiego dandysa na śniegu; w stroju miejskim. Choćbyśmy mu pokazywali najpiękniejsze cuda — będzie on miał inne... zmartwienia. Nie zajmiemy rzetelnie jego wyobraźni, gdy nogi będą mu marzły w lodowatym uścisku... Zato w narciarskim ubraniu, a więc w stroju przysto-

sowanym do warunków klimatyczno-terenowych, będzie mógł — o ile nie jest zbłaźnowanym dudkiem — pić rozkosz kontemplacji, smakować w pięknie górskich zaciśzy, urwisk i wierchów.

Oczywiście, technika rozłącza nad nami ochronną tarczę tylko do pewnych granic. Kiedy przyjdzie porządna dujawica — potrafi dać się we znaki, nawet rozumnie odzianemu turyście.

Auta przenoszą nas z szybkością 100 km/g. z jednego krańca kraju na drugi... pod warunkiem dobrych szos. Pociągami pośpiesznym w kilka godzin przebywamy trzystakilometrowe przestrzenie, o ile np... śnieg nie zagrozi drogi nieprzebytymi zaspami. Samolotem przelatujemy śmiało oceany, o ile przypadkiem brud nie zatka małej rurki, doprowadzającej oliwę do silnika. I tak dalej i tak dalej. Można by mnożyć przykłady,

kiedy zdobycze techniki okazują się niewystarczające dla ochrony człowieka, kiedy przyroda wymyka się z roli posłusznej służebnicy, kiedy stajemy oko w oko z żywiołem.

Wówczas, czując niedostateczność środków technicznych, zaczynamy pakłować z naturą. Budzi się w nas pierwotny instynkt samozachowawczy. Staramy się wyczytać i zrozumieć mowę zjawisk przyrody.

Jeśli jesteśmy na wyprawie narciarskiej — nie tylko rozkoszujemy się olaczającymi nas czarami zimy, ale równocześnie śledzimy pilnie znaki, zapowiadające zmianę pogody, nadejście burzy, groźbę lawiny. Jasny i lśniący, czy też ciemny i matowy kolor śniegu, układ warstw śnieżnych na zboczach, drzewach, krzakach, dachach, ogrodzeniach: kopiaiste nawisy, czapy czy też oblodzone grutki, — gatunek śniegu: lepki, śliski, twardy, zbity czy puszysty, kopny — oto szereg zagadnień, ważnych dla narciarza, a składających się, niby zwrotki, na wspaniały, porywający epos wyprawy narciarskiej.



Photo-Plut

Gra słońca i cienia

Wymieniliśmy zaledwo kilka strof zimowego poematu — jest ich więcej. Wypływają one ze skrzyżowania się wspomnianych możliwości oraz ze wszystkich tych wypadków, których tutaj nie wymieniamy, bo... zajęłyby cały zeszyt pisma. Zresztą najlepiej je przeżyć osobiście. Zaleca się to jako pyszną kurację duchową, niezawodne antidotum na chimery, fobje, rozstroje nerwowe, depresje psychiczne.

Niezawodne? — W tem określeniu jest nieco przesady, zapewne. Jest to dozwolona licentia poetica. Bo, rzecz prosta, gdy ktoś cierpi, powiedzmy, na „chorobę przestrzeni”, gdy obawia się szerokich, wolnych przestrzeni, bądź też ani rusz nie może pogodzić się z... deskami, przypiętmi elastyczną więźbą do butów, gdy, wreszcie, ogranicza się do kontemplacji natury podczas przechadzki z domu do dancingu (i zpowrotem) — nic dziwnego, że na niego czarodziejstwo gór działa w najlepszym razie — bardzo powierzchownie...



Hala w dolinie Strążyskiej

Photo-Plat



Mądry szef.

Wszystko pokręcone

Co? głowa boli?

Dlaczegoż więc Pani nie zażyje tabletki oryginalnej Aspiriny?

Przeciwno bólom głowy, zębów i kończyn, przeciwno reumatyzmowi, grypie i wogóle wszelkim zaziębieniom zawsze najlepiej pomagają niezawodne tabletki Aspirin. Na każdej tabletkie i na każdym opakowaniu (po 20 lub 6 tabletek) znajduje się krzyżowy napis BAYER, który stanowi markę ochronną oryginalnej Aspiriny. Do nabycia we wszystkich aptekach.

Co nowy rok przyniesie...

Rys. K. Dunin



studentom



malarzom



urzędnikom



handlarzom



księgarzom



śpiewakom



złodziejom



pijakom



Widok ogólny Calascibetta

We wnętrzach wyspy szmaragdowej

Z uroczej Syrakuzy, z zawrotną wioząc nas szybkością i głośnym furkołem silników wdzierając się w seledynowo-różową świeżość wczesnego bardzo poranka, długi sznur aut naszych stara się jakby przytłumić nadmiar przeżytych wczoraj wrażeń helleńskich.

Narazie jeszcze nadaremnie. Bo oto przecinamy małą rzeczulkę Cassibile i... w wyobraźni naszej powstaje odrazu tragiczny obraz poddającego się tu ongi, na czele sześciotysięcznej swej armii ateńskiej, Demostenesa. Ale już zaledwie na jedną tylko chwilę. Ktoś wspomina jeszcze o mitycznym źródle Diany w oczekującym nas, po drodze, Cômiso. Doskonala jego

woda, o ile zaczerpnięta przez niewiastę cnoły wątpliwej, z żadnem się jakoby łączyć nie chciała winem... Cierpki, na czczo, posmak mieszanego z wodą szlachetnego trunku, inne w nas tymczasem budzić już zaczyna nastroje...

Przebiegamy właśnie najwięcej na południe wysuniętą i najbardziej przez słońce uprzywilejowaną część trójkąta sycylijskiego. Życiodajne w okresie opadów deszczowych, staje się tu słońce już pod koniec wiosny najzacieklejszym ziemi tej wrogiem, zwłaszcza podczas upalnych miesięcy letnich, kiedy to, często bardzo, braknie wody nawet dla ludzi i zwierząt domowych.

Więc choć w słynących z gajów migda-

lowych okolicach miasteczka Avola udają się świetnie również plantacje trzciny cukrowej, a w znanym ze swych winnic Spaccaro, które mijamy następnie u wylotu doliny Ispica, rodzą się doskonale najrozmaitsze gatunki zboża i owoców, oliwki, a nawet bawelna i banany, chociaż od połowy października do połowy maja jedna tylko pobliska stacyjka Scicli wysyła stąd codziennie zagranicę aż po dwa pociągi normalnej: najpierw mięsistych karczochów, potem groszków cukrowych, później jeszcze koprów pękatych, a wkońcu — w kwietniu i maju — delikatnej ciemno-zielonej fasolki i soczystych, kraśnych pomidorów, — zdarzało się często, że już w połowie lutego, upragnionych nie doczekawszy się kłosów, dla braku wody, zasiewy zamierały na polach.

I dopiero, dzięki energicznym zabiegom wychowanego w dyscyplinie faszystowskiej dzisiejszego pokolenia, w odpowiednie konsorcja zrzeszonych rolników, powstała tu w ciągu tych lat ostatnich cała sieć najrozmaitszych urządzeń irygacyjnych, dzięki którym wypalane dawniej słońcem ugory pokryte są teraz stale szmaragdowo-zielonym

kobiercem pożytecznych traw i cennych ogrodowizn.

W obrębie dwukilometrowego pasa powoli od morza ku pobliskim pagórkom podnoszącej się plaży, po wywierceniu, czasem na głębokość aż 100 do 150 metrów, całego szeregu studzien próbnych i zastosowaniu odpowiedniej ilości pomp wirówkowych, Diesel'ów i różnego rodzaju instalacji elektrycznych, wytryskują wciąż jeszcze na różnych działkach z wnętrza białej skały wapiennej lub grubą warstwą gliny podścielonego pokładu aluwialnego, coraz to nowe źródła, których wody użyźniające godzić będą odtąd ze słońcem kłócącą się z niem podczas upałów wycieńczoną glebę.

Doskonałą wciąż mknąc drogą, przejeżdżamy przez Modikę. Wreszcie, po trzech godzinach podniecającej iście przejażdżki, przybywamy do Raguzy, najpierw maleńkiej, t. zw. Dolnej, a następnie do Górnej, właściwego ośrodka tę samą nazwę noszącej prowincji.

Położona malowniczo na dość wysokim już wzgórzu i licząca koło czterdziestu tysięcy mieszkańców, Ragusa Górna znajduje się w samym centrum wielkiej strefy asfal-

**KASYNO POWSZECHNE
KRAKÓW, RYNEK GL. 13.**



towej, której szybko postępująca ostatnio eksploatacja pozwala rokować na przyszłość najlepsze możliwości rozwojowe.

Odkryte w roku 1831 złoża asfaltowe w okręgu Raguzy oraz więcej na północ położonego Vizzini zaczęto eksploatować na większą skalę dopiero w roku 1880. Zarówno pod względem jakości, jak i bogactwa zawartego w nich minerału, należą one do najważniejszych. Według orzeczenia specjalnej w tym celu przez włoskie Ministerstwo Gospodarstwa Narodowego wydelegowanej komisji, ogólna zawartość w nich produktów użytecznych wynosi około 500 milj. tonn. Przyjmując zaś ewentualną produkcję

roczną otrzymywanych przy ich przeróbce olejów surowych na 200 tys. tonn, możnaby ze źródła tego otrzymywać, oprócz 25 tys. tonn benzyny, po 22 tys. tonn olejów ciężkich, znajdujących zastosowanie jako paliwo.

Nie wliczając całego szeregu miast włoskich, których ilość, dzięki rozplanowanej przez rząd obecny rozbudowie dróg, wzrosła poważnie, zwłaszcza w ciągu lat ostatnich, asfalt ragusański znajduje już od roku 1878 szerokie bardzo zastosowanie na jezdniach Londynu, Nowego Jorku, Berlina, Monachjum, Ottawy, Kopenhagi i różnych innych jeszcze metropolij świata.

Zwiedzanie jednej z najbliższych kopalń niewiele zajmuje nam czasu. Oddalona o półtora zaledwie kilometra od miasta, położona wśród przygniebiającego pustkowia, składa się ona z kilku, tuż nad powierzchnią ziemi wybitych, daleko w jej głąb biegnących galeryj. Na rozwidleniu jednej z nich napotykamy jakieś tajemnicze jeziorko. Wilgotne powietrze przesiąknięte jest tu wszędzie przenikliwym zapachem smołowca. Tu i owdzie wyrastają z pomiędzy popękanych złomów ścian wielkie, doskonale sfornowane kryształy siarki.

Naogół, praca w kopalniach asfaltu nie należy do najbardziej uciążliwych — łupanie miękkiego względnie materiału i przepychanie zwykłych wagoników po równym względnie torze szyn nie wymagają specjalnego wysiłku. Poprzez szeroki otwór wyłotu dobiega od czasu do czasu orzeźwiający tu bądź co bądź powiew rozgrzanego

słońcem powietrza i, niby upragniona za całodzienną pracę nagroda, ukazuje się wciąż, chociaż maleńki ale zawsze prze cudnie uśmiechnięty i obiecujący, niebieski skrawek ukochanego nade wszystko sycylijskiego nieba...

*

Od położonej już na wysokości 437 metrów Ra-

guzy, kierując się ku północy i podnosząc się wciąż wyżej, przenikamy w głąb coraz bardziej w tych okolicach dziczej wyspy. Gina gdzieś pomiędzy wzgórzami rzadkie tu wogóle osiedla ludzkie. Krajobraz staje się coraz surowszy. Szmaragdową zieloność niżej położonych pól i ogrodów zastępują powoli niezmiernie przestraszenie słońcem wyżartych i zrudziałych stoków górskich. Tu i owdzie spotkać można jeszcze samotne drzewo chleba świętojańskiego. Nawet tak charakterystyczne dla Sycylii, z nagich niemal skał wyrastające wszędzie, olbrzymie, niby żywe jakieś szaro-zielone potwory, uroczym powykoszlawiane i igłami najeżone opuncje — t. zw. tutaj figowce indyjskie — karłowacieją potrochu i stają się również wciąż rzadsze. Wreszcie i one znikają zupełnie.

Znajdujemy się już w promieniu olbrzymiego, prawie szóstą część całej Sycylii podścielającego złoża siarki rodzimej. Pod zabójczym działaniem wyziewów zbliżających się kopalń, zwłaszcza zaś znajdujących się na ich terenie przetwórcy i t. zw. „calcaronów” — wszystko dokola zdaje się zamierać.



Kościół „La Matrice” w Modica

Po pięciu godzinach szybkiej jazdy docieramy wreszcie do położonej w samym „sercu” wyspy Callanizetty, najważniejszego ośrodka całej tej strefy mineralnej.

Zwiedzając jedną z najpoważniejszych kopalń sycylijskich, przekonywamy się, jak bardzo jednak do przeżywanego przez nie obecnie przesilenia ekonomicznego przyczynia się brak wszelkiego zrozumienia własnych interesów ze strony zrezygnowanych dzisiejszych ich właścicieli.

Świadczy o tem przedewszystkiem porażająco niski stan ogólnej mechanizacji kopalń sycylijskich.

Nadzwyczajne rozdrobnienie własności oraz brak odpowiedniej, sprawnie działającej, wspólnej organizacji stanowi również poważną bardzo pozycję coraz groźniejszego kryzysu, sprawiającego, że z pośród tysiąca przeszło kopalń czynnych jest zaledwie 275, przyczem produkcja 208 wynosi poniżej 1000 tonn rocznie; że liczba zatrudnionych w nich robotników nie dobiega 10.000, czyli trochę więcej niż połowy liczby, jaka znajdowała tu zatrudnienie jeszcze w roku 1920 i że całkowita produkcja, wynosząca w okresie najlepszego swego rozkwitu koło pół miliona tonn rocznie, spadła ostatnio do 200.000.

Smutnego tego obrazu dopełnia wreszcie trwająca wciąż walka pomiędzy producentami i rafinerami, a na-

dewszystko zakorzeniony tu głęboko przesąd, że najodpowiedniejszym sposobem przeciwdziałania kryzysowi jest utrzymanie na jak najniższym poziomie stopy zarobkowej pracujących w kopalniach robotników, wynoszącej przeciętnie, przy ośmiogodzinnym dniu pracy, 12 i pół lir (5,8 złotych) dziennie.

Trudno bo rzeczywiście wyobrazić sobie coś bardziej przygnębiającego nad ciężką dolę pracującego w kopalniach sycylijskich górnika. Wobec iście przekłętą jego losu, nawet niezbyt również rozkoszne życie robotnika zagłębi węglowych wydać się musi czemś godnem zazdrości.

Korzystając z przywileju gości, opuszczamy się w głąb szybu windą elektryczną, służącą tu zazwyczaj wyłącznie do podnoszenia na powierzchnię ziemi wydobywanego z jej wnętrza minerału. Posługiwanie się nią dla wszelkich innych celów jest górnikom surowo zabronione. Po 5—6 — gdzie indziej nawet 12—14 — kilometrach, które,



*Fragmenty
kopalni asfaltu
w Raguzie*

wobec zupełnego braku odpowiednich wpo-
bliżu mieszkań, przebywać muszą pieszo co-
dziennie, czasem nawet nie oglądając wscho-
du słońca, czeka ich tu jeszcze jakie pół-
tora tysiąca niedbale i jakby naprędce w wil-
gotnej skale wykutych, śliskich stopni, po
których schodzić muszą powoli do znajdu-
jących się na głębokości 300—350 metrów
podziemi.

Już u samego zejścia do szybu, wywiąz-
ujące się z czarnej jego otchłani, żrące gazy
bezwodnika kwasu siarkowego drażnić za-
czynają nieprzywykłe doń tkanki naszych
organów oddechowych. W miarę opuszcza-
nia się, powietrze, coraz cięższe i coraz
gęstszymi przesiąknięte oparami, staje się
wprost nieznosne. Od dna, w różnych kie-
runkach, rozchodzą się liczne galerje. Słabo
elektrycznością oświetlone, wąskie przeważ-
nie i niskie, a zawsze przygniatające
i duszne.

Poruszamy się ostrożnie po dość nierów-
nym, usypanym otlamkami skały chodniku.
Tu i owdzie, niby tajemnicze cienie, wyla-
niają się z poza zakrętów lub głębokich
wnęk ściany ciemne postaci zgiętych pod
ciężarem surowca robotników. Ładują nim
właśnie jeden z wagoników, które ku dźwi-
gowi zwożą następnie potulne muły. Biedne
stworzenia! Nie zobaczą już nigdy światła

dziennego! Sprowadzone tu raz, pełnią cier-
pliwie ciężką swoją i pożyteczną służbę, do-
póki nie wyciągnie znowu martwego ich
cielska po szeregu lat na powierzchnię zie-
mi opuszczająca się wciąż i podnosząca bez-
myślnie wzdłuż szybu maszyna.

Dalej, w trującej atmosferze nasyconego
jeszcze dymami, bo niedawno dopiero za-
pomocą miny wysadzonego i bezładnie drą-
gami drewnianymi popodpieranego wgłębie-
nia, grupa półnagich i potem kroplistym
oblanych górników, t. zw. „picconierów”,
posuwając się śladem kapryśnie często u-
kładającego się złoża, miarowem postukiwa-
niem zwykłych ręcznych kilofów, nową już
w skale wytyka galerję. Na uprzejme nasze
powitanie odpowiadają obowiązującym, lecz
niezbyle uprzejmym ukłonem. I dowiedzia-
wszy się dopiero, że jesteśmy dziennikarzy-
mi, najpierw ostrożnie, a następnie z całą
bezwzględnością ludzi długą ciemionych
niewolą powierzać nam zaczynają wszystkie
swe troski i żale, prosząc o podanie do wia-
domości publicznej ze stoicyzmem przeży-
wanych tu przez nich cierpień.

Pracując na akord i pragnąc jak naj-
większe z pracy swej osiągnąć zyski, biedni
ci ludzie pozostają, zwłaszcza gdy chodzi
o odrobienie niepłatnych godzin, straconych
na zakładanie min i następujących po ich



Praca w kopalniach asfaltu



*Grottacalda —
kopalnia
siarki*

wybuchu przygotowań do zwykłej dopiero pracy codziennej, po kilkanaście czasem godzin w strasznych tych katakumbach, z których czeluści wyziera ku nim na każdym kroku śmierć, kalectwo lub choroba. Pominąwszy bowiem wzorowo urządzone stacje doraźnej pomocy, brak tu niemal wszystkiego, co by choć do pewnego stopnia zapewnić mogło jakieś takie bezpieczeństwo pracującym w tak ciężkich warunkach górnikom.

Po mozolnej, całodzienniej pracy, rzuciwszy ku dźwigowi zazdrosne spojrzenie i wgramoliwszy się znowu po owych półtora tysiącu oślizgłych stopni na powierzchnię ziemi, powracają wyczerpani i smutni do dalekich swych domostw, gdzie czeka ich nędzna strawa. Nikła wydajność ich trudu — 214 tonn siarki surowej rocznie wobec 324, osiągniętych przez górników kopalni środkowo-włoskich — jest całego tego stanu rzeczy najnaturalniejszym wynikiem.

Posępny ten obraz nabiera jednak tragiczniejszych jeszcze barw w kopalniach, dla których nawet winda ciężarowa jest wciąż jeszcze tylko marzeniem bliższej czy dalszej przyszłości. Wbrew obowiązującemu powszechnie w Italji prawu o ochronie pracy nieletnich, wołająca o pomstę do nieba kwestja t. zw. „karuzów”, od 10 do 15 lat liczących wyrostków, wynoszących na niedość stężących jeszcze barkach przerastające zawsze ich siłę ciężary wydobywanego pod ziemią przez ojców i braci starszą mi-



nerału, pozostaje tu wciąż jeszcze, pomimo palącej swej aktualności, sprawą ostatecznie niezafatwioną. Każde, napewno dość częste, poślizgnięcie się, tysiące i tysiące stopni w ciągu dnia przebiegających, ciężkimi noszami obarczonych malców — to straszna groźba czyhającego wciąż na nich kalectwa. Każde, najcięższe ich nawet wesechnienie — to najokropniejszy wyrzut ciążącego nad całym krajem sumienia.

Praca w sycylijskich kopalniach siarki trwa bez przerwy, na dwie zmiany, dniem i nocą. Gdy tam w górze rozpromienione słońcem niebo uśmiecha się radośnie, lub w nocy światłem księżyca i mirjadem gwiazd wysrebrzonych chłodzi ziemię, — tutaj w głębokich jej wnętrzach zawsze te same mroki panują. I tylko w żółtawym blasku rzadkich lampek elektrycznych, oparami wilgoci skropione, mleczno-burszynowe żyły cennego kruszcu nabierają chwilami połysku soczystych cytryn, dojrzewających w gajach dalekich, budząc w wycieńczonych płucach i umęczonej duszy współczesnego niewolnika nienasycone pragnienie powietrza, światła i radości...

Dr. Aleksander Koltoński

Wynalazek na czasie



Automat gilotyna posiada wszelkie zalety. Nowoczesny estetyczny kształt pozwala na postawienie tego aparatu na najbardziej reprezentacyjnych ulicach miasta. Po wrzuceniu 3 pięciogroszówek szybko i bez bólu usuwa głowę



wyprowa fetysha.

napisal Mieczysław
Jarosławski

Portfel!

Wypchany, z czerwonego sałjanu portfel!

W lśniącym okuciami przedziale pierwszej klasy — portfel!

Na czerwonych pluszowych poduszkach — jeno ten gruby portfel!

Poza oknem przyśpieszony ruch uchodzących głów ludzkich, a we wnętrzu błyszczącej mahoniami bombonierzy ich dwoje: zapóźniona Inka i zapomniany portfel. Inka, biedna, ostatnim groszem goniąca panna i niezależny, rozepchany banknotami portfel; Inka, inteligentka bez pracy i opasły, rozwalony portfel beztroskiego bogacza. Nie — Inka w szponach nędzy i beapański, czerwony kadłub pełen nasytu.

W jednej chwili oszołomiająca fala pomysłów. Wzrok rozbiegany, wyciągające się pragnieniem dłonie, drżące kolana.

Słuch?... Z tumultów dźwięków: — nawoływań, turkotu wózków peronowych, syku parowej maszyny — Inka wychwytyuje tylko jeden głos krzyk własnego sumienia: — podnieść i oddać!

W jednej ręce trzyma wylartą tekturową walizeczkę, w drugiej ścisła kurczowo sałjanowy portfel. Chce zawołać, chce biec, ale głos nie może wydobyć się z krtani, nogi odmawiają posłuszeństwa.

Konduktor.

Inka momentalnie ukrywa portfel pod płaszczy. Idzie. Opuszcza głowę i oczy. Przycupnęło sumienie. Lęk cicho szepcze:

A jeżeli konduktor spyta?!

Inka zaraz wybiegnie na peron, do hallu dworca — odnajdzie tego „kogoś” i odda mu. Tak — odda mu zapomniany portfel. Żrenice szukają już w tłumie — lękliwie, skrycie... Może nie znajda?...

Inka zbiega po kamiennych schodach — niema! Niema go? Więc pobiegnie ulicą, może dopędzi i odda. Tak — odda.

Wsiąknęła ją ulica, porwała, poniosła, niby zburzona fala powodzi wyrwane z korzeniami drzewko. Sumienie walczy, podsuwa rady. De-

cyzja — stanowcza, nieodwołalna: pojedzie prosto do „Kurjera”, da ogłoszenie, a portfel zdeponuje.

Tramwaj sunie tak szybko, jakby chciał dopomóc w uspokojeniu sumienia Inki. Ludzie wsiadają, wysiadają, tłoczą się, jakby chcieli zobaczyć tę, która znalazła portfel. Alarmuje dzwonek, zaglądają do wnętrza tramwaju domy, rzucają się natarczywie w oczy bogactwa witryn wystawowych, reklamują się, zapraszają różnokolorowe szyldy. W mózgu Inki chaos: gdzieś w kącie kwili przydeptane sumienie, wszystkimi pulsami tętni chęć przytłumionego życia.

Wysiadła. Po chwili stanęła przed okienkiem. Nie. Jeszcze nie namyśliła się dostatecznie. Conęła się i na białej kartce niepewnie układa litery.

„Zostawiony w wagonie pierwszej klasy portfel — do odebrania”...

Inka gryzie obsadkę. Czy miała wogóle prawo „znaleźć” portfel w wagonie? I jeżeli go „znalazła”, dlaczego nie oddała go natychmiast władzom kolejowym?

Zmięta, nawpół zapisana karta spadła do kosza. Na następnej te same, tłoczące się niechętnie litery.

... odebrać można...

Nowa zmięta kartka spadła do kosza.



Na białej kartce niepewnie układa litery

Inka nie ma jeszcze pewnego adresu. Zresztą cały dzień musi uganiać się po mieście, aby znaleźć posadę, bo w woreczku kołacze się już zaledwie kilka złotych. Zdaje się Ince, że przyglądają jej się natarczywie ludzie. Więc pisze:

Znająca języki, młoda, uczciwa, z dobrego domu panna szuka lekcji, ... oferty...

I myśli: — gdyby ktoś do „Kurjera” zgłosił się po zdeponowany portfel, nie dowiedziałby się zapewne o tem, że osoba, która go znalazła, nie ma z czego żyć.

*

Dopiero dnia następnego ukazało się w „Kurjerze” drobne ogłoszenie o znalezieniu portfela. Na pierwszej stronie w tymże numerze zamieszczo-

no ogłoszenie poszukującego. Dwa te ogłoszenia nie przeczuwały jednakże wzajemnie swojej obecności na łamach tegoż dziennika.

Inka w ciągu tygodnia zdarła zelówki, schudła o dwa kilo i wydała ostatnie grosze. Wszystko to zdecydowało o konieczności zajrzenia do znalezionej portfelu. I teraz dopiero Inka przeraziła się, stwierdziwszy, że wnętrze jego zawiera ponad trzy tysiące dolarów. Inka nie znalazła w sobie dosyć odwagi, aby zmienić jeden z banknotów studolarskich.

Nie mogła jednakże oprzeć się pokusie wyjęcia z portfelu małej rzeźbionej w onyksie figurynki. Z czarnej, przeciętnej białą żyłką twarzy patrzyły rubinowe oczy; usta rozciągały się w tajemniczym uśmiechu; na podwiniętych, krótkich nóżkach opierały się cztery zrosnięte ręce. Bożek ten najwyraźniej strzegł skarbu swego pana. Rubinowe oczy urzekły Inkę, zahypnotyzowały ją. Zazdrośnie owinęła pokraczną figurkę w małą, koronkową chusteczkę i schowała ją za stanik. Czuła jak potworek zaciążył pomiędzy stożkami jej piersi. Nie mogła z nim się już rozstać. Spała z onyksowym fetyszem, śniła o nim — jeno że fetysz we śnie był inny. Cere miał ogorzałą, oczy stalowe i nie siedział na podwiniętych nogach, lecz pochylał się nad śpiącą Inką i szeptał coś, czego nie mogła zrozumieć.

Obudzono ją wczesnym rankiem. Nareszcie zjawił się ktoś w sprawie ogłoszenia. Inka kurczowo przycisnęła do piersi bożka z rubinowymi oczyma. Był ciepły, ożywiony i przeistoczony jej marzeniami. Nie była już w stanie z nim się rozstać, zwrócić go właścicielowi...

Ale zjawiający się „ktoś” nie zgłaszał się po portfel, lecz w sprawie ogłoszenia młodej, inteligentnej i t. d. panny.

Inka odetchnęła, a w dwie godziny potem poznała ładną panią w wieku, który zwykle przezornie się ukrywa. Pani ta nudziła się. A nudząc się, chorowała. Choroba bowiem upoważnia do wyjazdu. Ładna pani postanowiła wziąć ze sobą w tę podróż Inkę — dlatego że Inka wyglądała skromnie, nie znała stosunków stołecznych, a więc i stosunków pięknej pani.



Poznała ładną panią...

— Więc pani mnie nie zna? — zagadnęła odrazu.

— Nie, proszę pani — przeraziła się Inka. — Jestem po raz pierwszy w Warszawie.

Ta krótka wymiana zdań zdecydowała o losie Inki.

— Dostanie pani 200 złotych miesięcznie i pojedziemy do Grecji.

Inka drżała.

— Oczywiście — ciągnęła dalej piękna pani — musi pani za te warunki spełniać pewną rolę. Będzie pani mi towarzyszyć. A właściwie — nam.

Inka nie wahala się, byleby tylko nie być zmuszoną do zmiany znalezionych dolarów.

*

Piękna pani spotkała się w Atenach z pięknym panem. O, był tak piękny, jak widziany we śnie bożek — z szafirowemi oczyma. Piękny pan nie widział wszakże Inki. Musiał być zbyt zajęty piękną panią i jej kaprysami. Nie widział jej nawet wtedy, kiedy wobec niedyspozycji swej towarzyszkii zasiadł w wytwornej restauracji sam na sam z Inką do kolacji. Zdawał się być zmęczony czy przygnębiony. Dopiero kiedy weszli jacyś jego znajomi, zwrócił się do Inki z rzeczową uwagą:

— Proszę, niech pani usiłuje ze mną uprzejmie rozmawiać.

Inka uśmiechała się o ile pozwalało jej na to zażenowanie, a piękny pan pochylał się nad nią, dolewał jej wina, coś mówił — jednym słowem

wszystko czynił tak, jakby chciał pokazać, że Inka jest zajęta.

Wtedy w Ince zagrała miłość. Zagrała beznadziejnie, niby biedny lutnista na ocembrowanem wysokimi murami podwórku. Rzuca mu się zawinięte w papierki groszaki, choć go się widzi z okien wysokich pięter — nie widzi się jego rozmarzonych oczu, nie słyszy się westchnień...

Piękny pan był zadowolony z Inki. Następnego dnia słyszała, jak mówił do pięknej pani.

— Byli przekonani, że włóczę się za tą dzierlatką. Możesz być spokojna, że za kilka dni mąż twój będzie miał o mnie odpowiednie relacje.



I znów kilka wieczorów spędziła z pięknym panem...

— Dla pewności musisz jednak pokazać się z nią jeszcze kilkakrotnie — zdecydowała kategorycznie piękna pna.

I znów pan z efektownie ubraną Inką objeżdżał modne restauracje. Kiedy znalazł w jednej z nich swych znajomych — pozostał.

Wtedy Inka spytała:

— W jakim celu ta komedia?

— Czyżby pani nie była wtajemniczona przez panią Helenę?

— Nie — szepnęła Inka w zażenowaniu.

Piękny pan zajął wprost w oczy młodej dziewczynie. I zobaczył uciekające pod powieki lśniąco czarne źrenice i drgające na nich wzruszeniem czarne firanki rzęs. Zobaczył rozdyrmawiające się chrapki zgrabnego noska i płomień na policzkach a w kącikach świeżych ust hamowany skurcz płaczu. Zdziwił się jeszcze bardziej, zdziwił się, bo zobaczył właściwie dziś po raz pierwszy piękność Inki. Więc spytał natarczywie:

— Przepraszam... nie zastanowiłem się nad tem, że ta komedia może sprawić pani przykrość... W takim jednak razie... — przerwał.

Inka milczała. Rumieńce uciekły. Na twarzy wystąpiła matowa bladeść. Ogarnął ją lęk, że dzięki swej nieuprzejmości po raz ostatni pozostała sam na sam z pięknym panem. Coś się w niej łamało. Coś załamywało się pod nią, wokoło niej. Nieznacznym ruchem przycisnęła do piersi onyksowego fetysza.

— Gdzie pani dotychczas była? — pytał głosem cichym piękny pan. — Gdzie pani była, żem pani nie zauważył?

Inka odsłoniła oczy — na sekundę — i w tej sekundzie spotkały się ich spojrzenia.

W oczach Inki był wyrzut, w oczach pięknego pana prośba o przebaczenie.

I piękny pan zadumał się.

A dnia następnego z niepewną miną usprawiedliwiał się przed panią Heleną:

— Chyba muszę im się pokazać jeszcze kilka razy w towarzystwie tej panny, żeby już nie mieli najmniejszej wątpliwości.

— Obawiam się, że i ty powzięłeś już pewne wątpliwości... — podejrzliwie zauważyła piękna pani.

I znów kilka wieczorów spędziła Inka sam na sam z pięknym panem. Znajomi zaś jego zdecydowali:

— Inżynier Jaszczolt włóczy się zdecydowanie za tą dziewczyną.

— Ta dama musi być jednak wymagająca, bo wyjeżdżając, pożyczył nawet tysiąc dolarów — zauważyła pulchna dama.

— A pisał już do banku o nową pożyczkę — dodał godnie jej satelita.

— Patrzcie no! — podchwycił wytworny grubas — szkoda chłopu.



Jestem pewna, że uratują pana...

Może się zmarnować. Słyszałem, że od jakiegoś czasu nie wie gdzie mu się. Podobno nawet okradziono go?

— No, no... okradziono! — zaśmiała się pulchna dama. — Oczywiście stracił na nią. Patrzcie, panowie, jaki nią zajęty.

Od tego oglądania suchemu satelicie, aż kość adamowa jej chodząc pod brodą, co widząc, pulchna dama zawyrokowała:

— Co za zgorszenie... żeby tak z jakąś cudzoziemką!...

Wstała i demonstracyjnie wyprowadziła za sobą obu panów. Ale inżynier Jaszczółt nie zauważył tego. Istotnie, coraz bardziej był pochłonięty Inką. I coraz bardziej smutny, że poznał ją w takiej właśnie sytuacji. Bo i cóż miał jej powiedzieć ten zdyskredytowany bankrut? Palił go wstyd i żarł ból serdeczny.

I oto nagle podejrzliwa pani Hela postanowiła:

— Pojedziemy we dwoje do Kairu, a tę pannę Inkę dziś jeszcze do Warszawy. Nikt nam już nie będzie przeszkadzać i nikt nie będzie śledzić.

— Niestety, i ja również muszę wracać do Warszawy — odparł zgryziony Jaszczółt, a przyciśnięty oświadczył wprost, że jest zrujnowany, choć nie powiedział szczerze, że męczy go już towarzystwo zbyt kosztownej kochanki.

Piękna pani dostała spazmów, a przerażona Inka pytała Jaszczółta:

— Dlaczego pan opuszcza panią Helenę tak nagle?

Zasepił się i, patrząc głęboko w oczy Inki, odparł z gorzką ironią:

— Jestem bankrut, muszę wracać, aby się ratować.

Inka przez całą noc nie spała, naradzając się ze swym fetyszem. A rano zaproponowała Jaszczółtowi pożyczkę kilku tysięcy dolarów.

Zdębiał, przeraził się i odmówił kategorycznie.

— Niech pan przyjmie — nalegała Inka — to są szczęśliwe pieniądze...

Nie rozumiał.

— Znaleziono — wyjaśniła Inka i wydobyla z woreczka safjanowy portfel. — Jestem pewna, że uratują pana....

Jaszczółt zbladł. Poznał swoją zgubę. Patrzył w oczy zażenowanej dziewczyny i widział w nich prośbę, lęk i cichą nadzieję. Ujął ją za obie drżące dłonie i spytał cicho, wnikliwie:

— I nic więcej nie znalazła pani razem z temi pieniędzmi?

— Spłonęła.

— Może pani znalazła w tym portfelu onyksowego fetysza z rubinowymi oczyma?

Inka spojrzała przerażona. W szeroko rozwartych jej oczach zalśniły się łzy zrozumienia. Sięgnęła ręką za stanik i wydobyła zwiniętą koronkową chusteczkę. Ledwie poruszały się ściśnięte żalem jej wargi:

— Myślałam, że mi... pan tego nie odbierze...

Jaszczółt uśmiechnął się i przycisnął drżącą rączkę Inki do ust.

— Pod warunkiem, że pani nie odbierze mi tej — rączki, którą onyksowy fetysz tak podstępnie doprowadził aż do moich ust.





Sjesta iguanów

Ostatni mohikanie

To przedstawiciele nielicznych gatunków jedynej w swoim rodzaju fauny wysp Galapagos, odznaczających się zupełnie specyficznym światem zwierzęcym, niespolitykanym poza nimi.

Galapagos — to domena żółwi i wogóle gadów, które tu z powodzeniem zastępują ssaki. Z pośród jaszczurek mamy na myśli iguany, jedyny rodzaj w tym podrzędzie, szczytający się przydomkiem „wodny”. Pozostały tu jako żywe świadectwo swych potężnych przodków epoki permskiej, triasowej i kredowej, znanych obecnie ze szczątków kopalnych.

Pewną legitymacją na korzyść przeszłości są rozmiary obecnie żyjących morskich iguan, gdyż obok varanów egipskich są największymi z obecnie żyjących jaszczurek i osiągną 1,5-metrową długość przy 80-cen-

tymetrowym ogonie, ważąc około 12—15 kg. Na Galapagos występują bardzo licznie; gnieźdzą się zazwyczaj na przybrzeżnych skałach i nie opuszczają ich dobrowolnie, nie ośmielając się przeniknąć dalej niż na dziesięć metrów w głąb lądu.

Są doskonałymi pływakami. W wodzie poruszają się szybko i łatwo wyginają węzłowe ciało, sterują zaś długim spłaszczonym ogonem. Nogi przy pływaniu pozostają jednak całkiem nieruchome i stale są przyciśnięte do tułowia. Jaszczury te zaczynają się nimi posługiwać dopiero w chwili lądowania, gdyż dzięki szponowatym pazurom świetnie spełniają swą rolę, umożliwiając wdrapywanie się po oślizgłych lawach nadbrzeżnych, typowych dla wulkanicznych wysp.

Zaledwie iguany wypelnzą na suchsze miejsce, gdzie nie dosięgają wypryski spie-

nionych łal, poczynają się grzać gromadnie na słońcu, szeroko rozstawiając nogi, jak to widzimy na ilustracji.

Jeśli w takiej chwili zakłócić sjęstę tych mało estetycznych stworzeń, raczej pozwolą się zapędzić w głąb ładu, niż poszukają ratunku w morzu. Jest to ciekawe i niepojęte biologicznie zjawisko, chociaż Darwin tłumaczy ten rodzaj ucieczki strachem przed rekinami, które czatują pod skałami na niefortunne gady pływające, łapiąc je masowo i z upodobaniem. Dlaczego jednak gady nie obawiają się zbyt rekinów w normalnych okolicznościach, gdy niefrasobliwie nurkują w wodnym odmęcie, tego Darwin nie wyjaśnia zupełnie; gdyby zresztą miał rację, iguany nigdy nie wracałyby do wody i wkrótce przestałyby być sobą.

W sytuacji bez wyjścia iguany przybierają postawę obronną, usiłują przybrać możliwie najgroźniejsze pozory przez wydymanie workowatej skóry podgardla, nastroszenie grzebienia grzbietowego, złowieszczy syk i nad wyraz wojowniczą pozę.

Doprowadzone do rozpacz skaczą na przeciwnika, a jeśli pochwycą go swymi mocnymi zębami, nie wypuszczają zbyt łatwo i smagają boleśnie splaszczonym biczowatym ogonem.

Mimo wszystko są poszukiwaną zdobyczą, gdyż mięso ich uchodzi za wybitny przysmak. Jako pieczone, czy gotowane wraz z jajami, pozbawionymi prawie zupełnie

żółtka, w zupie — mają wielkich zwolenników w gronie najwybitniejszych smakoszy amerykańskich, nie więc dziwnego, że pojmane iguany zawsze znajdują swój rynek zbytu i są dobrze płatną zdobyczą.

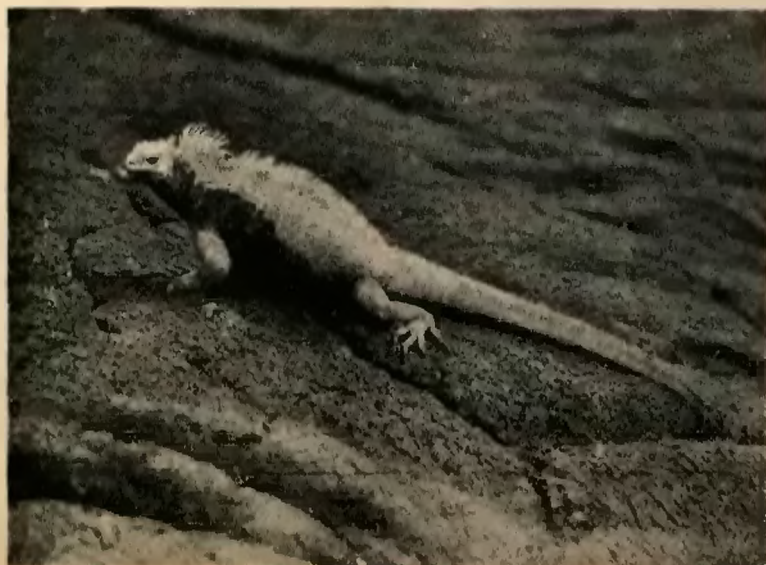
Handlarze iguan, aby uniemożliwić kasanie jaszczurkom, przewlekają im przez skórę dolnej szczęki i nozdrza mocny elastyczny pęcz, który związują na węzeł, obie zaś pary nóg krępują na grzbiecie ścięgniemi wyprutemi z palców zniewolonych zwierząt. Ten barbarzyński skądinąd zwyczaj tłumaczy ogromną żywotnością iguan, ponieważ unieruchomione w taki sposób i storturowane, pozostają przy życiu cztery i więcej tygodni.

Ze względów gospodarczych próbowano je oswajać, okazują jednak nadzwyczajną dzikość i złośliwość, rzucając się na ludzi i zwierzęta. Przecież dzięki umiejętnej hodowli dają się opanować, stopniowo się uspokajają, pozwalają głaskać i brać na ręce.

Mimo to rzadko je możemy zobaczyć w zwierzyńcach, chociaż w pełni zasługiwałyby na wyróżnienie jako najciekawszy przedstawiciel obecnych jaszczurek.

Obok tych bezsprzecznych potomków byłego świata gadów wypada ni jeszcze wymienić Helodermy. Wbrew rozlicznym podaniom ludowym jaszczurki nie są zupełnie jadowite, ale właśnie Heloderma stanowi pod tym względem jedyny wyjątek. Posiada

*Iguan
usiłujący
przybrać
groźną
postawę
w niebezpieczeństwie:
wydął
workowate
podgardle
i nastroszył
grzebień
grzbietowy*





Heloderma

ona w dolnej szczęcie dwa gruczoły i zęby jadowe. Skóra tej ciekawej jaszczurki, jak widzimy na załączonej ilustracji, jest po-centkowana żółto - białymi, pomarańczowymi i czerwono - buremi plamami. Dosięga 60 cm

dlugości, a ukąszenia jej są śmiertelne dla drobnych stworzeń i ptaków. Dla ludzi są mniej groźne, aczkolwiek po ukąszeniu obserwujemy ogólne chroniczne osłabienie, związane z wysychaniem skóry, a w poszczególnych przypadkach ze śmiercią.

Obie wymienione jaszczurki mimo tylu znanych faktów budzą wciąż zainteresowanie licznych specjalistów, a badacze amerykańscy organizują specjalne wyprawy, mające na celu poznanie tych ciekawych gadów, których życie jest niejednokrotnie kluczem do rozwiązania wielu zagadek zamierzchłych epok faunistycznych. Jednej z tego rodzaju wypraw zawdzięczamy załączone tu fotografie, wykonane przez konserwatora Mr. Schmidta z Chicago, uczestnika podróży okrętu „Illyria”.

Vit

OTO

CO PRZYNIESIE

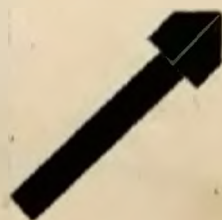
W STYCZNIU

1932 r.

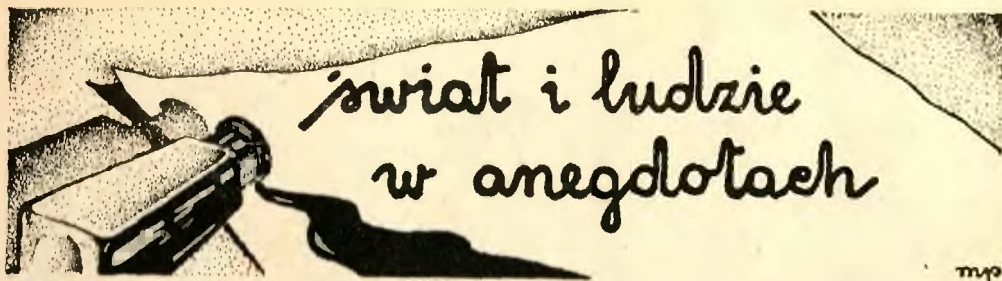
MAGAZYN

NAOKOŁO

ŚWIATA







Tomasz Alva Edison

Wybrał:

J. Kotwicz

Wielki wynalazca Tomasz Alva Edison już w dzieciństwie zdradzał skłonności i zamiłowanie do wynalazczości. Opowiada ją, że gdy miał niespełna cztery lata, matka przyszłej znakomitości przylapała swego chłopca w kurniku na pewnem „doświadczeniu”.

— Co ty tu robisz? — zawołała do syna siedzącego w kacie.

— Nic, mamol — odrzekł chłopiec. — Chcę się tylko przekonać, czy też potrafię wysiedzieć z jaj kurcząt.

Znacznie później, bo gdy liczył już sobie lat siedemnaście, Edison suszył sobie głowę nad problemami lotu w przestworzach. Pewnego dnia doszedł do wniosku, że aby potrafić unieść się w powietrze wystarczy być napełnionym odpowiednią ilością gazów. Przyjął więc, nie namyślając się, kilkanaście... musujących proszków. Skutek jednak okazał się ten, że zamiast unieść się wgórę położył się do łóżka...

W roku 1869 Edison przedstawił czynnikom międzynarodowym jeden ze swoich wynalazków, który umożliwiał przeprowadzenie głosowania w parlamencie w ciągu jednej minuty. Zbadanie wynalazku powierzono specjalnej komisji i Edison otrzymał wkrótce od jej prezesa następującą odpowiedź:

— Kochany panie! Przyznajemy, że aparat działa precyzyjnie i że, przyspiesza ogromnie tempo głosowania, ale nie możemy go zastosować w naszym parlamencie.

— Dlaczego?

— Bo... rozumie pan... nie dałoby się na tym aparacie nic... sfalszować!

S skromność Edisona ilustruje następująca anegdota.

Zwiedzając w roku 1893 dział przemysłu elektrotechnicznego Wszechświatowej Wystawy w Chicago zainteresował się Edison elektrycznym kompresorem, który miał stanowić środek na wszelkie dolegliwości cielesne. Wykorzystanie elektryczności w tym kierunku było dla Edisona do pewnego stopnia nowością, to też zwrócił się do kierowniczki działu po informacje:

— Czy mógłbym się dowiedzieć, jak te opaski działają?

— Proszę bardzo! — zaczęła objaśniać młoda kierowniczka, biorąc do ręki jeden aparat. — Prąd elektryczny przepływa tu z płytki miedzianej do cynkowej, a następnie...

— Przepraszam! — przerwał uprzejmie Edison. — Jestem trochę głuchy. Czy pani powiedziała, że prąd płynie z płytki miedzianej do cynkowej?

— No, tak! I powiedziałałam...

— Chwileczka! Pani pozwoli, że się zastanowię. Czy to możliwe?

— Ależ tak! Prąd przepływa z miedzi do cynku.

— A wie pani, ja zawsze myślałem, że jest wprost przeciwnie.

— No, to się pan niezna na elektryczności! — odpowiedziała arogancko panna i rzuciła przyrząd na bok.

— Może!... — rzucił skromnie Edison i odszedł.



Edison w ostatnim roku życia

Działo się to pod koniec ubiegłego stulecia. W olbrzymim nowojorskim teatrze po brzegi wypełnionym występowała Sara Bernhardt, a na widowni znajdował się Edison, będący wówczas u szczytu powodzenia życiowego. Gdy wielkiej artystce zakomunikowano podczas antraktu o obecności na sali Wielkiego Czarodzieja z Menlo-Parku, zawołała:

— O, jakżebym chciała go poznać!

Powtórzone to Edisonowi, który też chętnie zjawiał się po przedstawieniu w garderobie artystki.

— Mistrzu! — zawołała Sara Bernhardt. — Jakżem szczęśliwa!... Pan, który wynalazł telefon...

— Nie! Nie wynalazłem telefonu, szanowna pani... — przerwał skromnie Edison.

— Prawda! Prawda!... Chciałam powiedzieć telegraf...

— I telegrafu nie wynalazłem...

— Przepraszam bardzo, jestem taka wzruszona... chciałam powiedzieć teleskop...

— Kiedy i teleskopu nie wynalazłem!

Wielka artystka była zupełnie zmieszana. Wdzięk jednak Edisona rozbroił ją szybko.

— Niech więc pan powie, co pan wynalazł?

— Nic, kochana pani! Zapewniam panią, że same drobizgi. Nie warto o tem mówić.

Na drugi dzień po tej rozmowie otrzymała Sara Bernhardt duży kosz kwiatów i bilecik:

„Od człowieka, który prosi, by mu wybaczyć, że nie wynalazł ani telefonu, ani telegrafu, ani teleskopu. T. A. Edison”.

*

Edison nie znośił wywiadów dziennikarskich i unikał ich wszelkimi sposobami. Mimo to wtargnął pewien odważny reporter amerykański do jego laboratorium w Menlo-Parku, dowodząc niezadowolonemu Edisonowi, że jego pismo potrzebuje koniecznie wywiadu o pierwszym i ostatnim wynalazkach Wielkiego Czarodzieja.

— Trudno! — zaczął niechętnie Edison. — Opowiem panu. Mój pierwszy wynalazek powstał wówczas, gdy jako telegrafista kolejowy zajmowałem się z amatorsztwa doświadczeniami nad elektrycznością. Dowiedziałem się z gazet, że pewien milioner z Nowego Jorku, drżąc o całość swych nagromadzonych kapitałów, ogło-



Edison

(O. Gulbransson—„Die Bühne”)

sił premię za najlepsze urządzenie zabezpieczające jego pancerne kasy od włamania. Premja wynosiła ogromną sumę pieniężną i w dodatku perspektywę otrzymania ręki pięknej jedynaczki milionera. Byłem strasznie podniecony tą wiadomością, więc odrazu zabrałem się do rzeczy. Pomyślałem nad wynalazkiem, popracowałem i wkrótce zgłosiłem się do owego milionera, prosząc o wskazanie kasy. Musiałem przecież obejrzeć jej położenie, aby wiedzieć jak włączyć swoją instalację. Obejrzałem i nic nie mówiąc odszedłem. Gdy się zgłosiłem na drugi dzień, nie chcieli mnie przy-

jąć, tłumacząc, że milioner leży chory w łóżku. Nalegałem jednak tak stanowczo, że musiano mnie wprowadzić przed jego oblicze. Wówczas powiedziałem: „Jest pan chory dlatego, że gdy dziś rano chciał pan otworzyć kasę, dostał pan tak silne uderzenie elektryczne, żeś pan upadł bez przytomności, a stało się to tylko dlatego, że oglądając wczoraj pańską kasę, założyłem niepostrzeżenie aparat mego wynalazku, który byłby niemniej skuteczny wobec włamywacza. Przekonał się pan o tem sam na sobie, wobec czego zgłaszam się po przyrzeczone nagrody”.

— No, i cóż? — zapytał reporter. — Otrzymał je pan?... —

Jak pan widzi, nie jestem zięciem nowojorskiego milionera.

— Dobrze! Więc to był pański pierwszy wynalazek! — rzekł skrzętnie wszystko notujący dziennikarz. — A ostatni?

— Mój ostatni wynalazek? — odpowiedział śmiejąc się Edison. — To właśnie ta historia, którą przed chwilą panu opowiadałem.

*

Zapytany przez jednego z filmowców, czy nie martwi się, z powodu swej głuchoty, z udźwiękowienia filmu, odpowiedział Edison:

— Przeciwnie! Właśnie się cieszę, że jestem głuchy!..

*

Gdy zapytano Edisona niedługo przed śmiercią w jaki sposób się stało, że tak bogata Ameryka ma przeszło dziesięć milionów bezrobotnych, odpowiedział charakterystycznie dla siebie:

— Kochani ludzie! Ja nie wiem! Całe życie pracowałem i chciałem, żeby było jak najlepiej...



Edison w karykaturze

(Roger Roy—„Gringoire”)

KASINO POWSZECHNE
KRAKÓW, RINEX CL. 13.

Wielki przemysł guzikarski z muszli perłowej

Kiedy zjawily się po raz pierwszy guziki, nie wiemy naprawdę. W każdym razie, użyte jako ozdoba, lub środek do przytrzymywania szal, figurują one w historii cywilizacji od tysięcy lat. Spotykamy o nich bowiem wzmianki w literaturze starożytnej, i odnajdujemy je w ruinach miast, które odeszły w krainę zapomnienia już na kilka stuleci przed erą chrześcijańską.

Różne epoki cywilizacji u różnych narodów zostawiały swe piętno na rodzaju używanych guzików, i można powiedzieć, że nie było materiału, nadającego się do cięcia, obłaczania lub wytłaczania, który nie zostałby użyty do wyrobu guzików o formach i ornamentacji często fantastycznych.

Z jednej więc strony wyrabiano je z różnych stopów metalowych, z kartofli, z aksamitu, nawet z krwi prasowanej — z drugiej zaś spotyka się drogocenne guzy z diamentów, rubinów, jaspisu, lub porcelany. Ale zawsze były guziki z masy perłowej, które pozostawały ze stulecia w stulecie głównym motywem ornamentacyjnym ubiorów. Materiał ten był zresztą uważany zawsze za idealnie nadający się do wyrobu guzików, ze względu na swe zalety: piękny wygląd i wytrzymałość swych komórek, wraz z niezmiennością połysku i błyskotliwego zabarwienia. Muszle perłowe znajdują się w grotach skalnych lub koralowych, wreszcie na piaszczystych ławicach lagunowych. Ogrzewane silnymi promieniami słońca morza Oceanji są idealnem miejscem pobytu dla małżów perłowych i obecnie najlepszy gatunek surowca dla wyrobu guzików przychodzi stamtąd. Piękny biały odcień masy perłowej, pochodzącej z Australji, czyni ją towarem, poszukiwanym przez fabrykantów, wyrabiających najlepsze gatunki guzików.

Należy dodać, że piękne, oceniane na wagę złota perły są produktem tego samego mięczaka, który wytwarza muszlę perłową w morzu. Różnica między niemi pochodzi tylko z przypadku: właściwa perła tworzy się bowiem wtedy, gdy do ciała stworzenia w muszli dostanie się jakiś obcy przedmiot, i mięczak chcąc reagować przeciw napaści, pokrywa go stopniowo warstwami tej materji, którą wysłana jest sama muszla.

A zatem zwykły guzik z masy perłowej i drogocenna perła u jubilera są właściwie jednakowym materiałem w stanie surowym. Tak producenci pereł morskich, jak i poła-

wiacze ich są zresztą bardziej zainteresowani w zdobywaniu muszli perłowych, jako w zarobku względnie łatwym i pewnym, niż we właściwem poszukiwaniu drogocennych, lecz rzadkich pereł. Muszla perłowa, często dochodząca do 25—30 centymetrów średnicy, i ważąca od 2 do 2½ kilograma, wymaga długich lat do wytworzenia się. Drogocenna materja perłowa, wyścielająca ją składa się z węglanu wapnia i specjalnej substancji, zwanej „conchiolinem”. Budowa samej muszli składa się z szeregu warstewek powyższej materji, grubości około 0,015 milimetra. Miękki i ciepły połysk z łęczową zmiennością barwy, i wytrzymałość uwarstwionej struktury są charakterystyką morskiej muszli perłowej, w odróżnieniu od perły rzecznej, która daje materiał drugorzędny, jest raczej martwą w wyglądzie i kruchą.

Najbardziej rozpowszechnionym artykułem z muszli perłowej są niezaprzeczenie guziki, a największym ośrodkiem ich produkcji jest obecnie Ameryka, wyrabiająca od 5 do 6 milionów grosów guzików rocznie, wartości około 6 milionów dolarów. W swoim czasie krajem produkującym w tej gałęzi przemysłu była Austria, konkurencja jednak Ameryki po roku 1900 zabiła jej supremację. Należy to przypisać w pierwszej linii praktycznemu zmysłowi yankesów, którzy rozpoczęli swą pracę od gruntownego zmechanizowania całej procedury wyrobu guzików, które zyskały na wyglądzie i dekoracyjności, dzięki zastosowaniu nowych metod fabrykacji, zaczerpniętych, jak zwykle, ze starej Europy, lecz udoskonalonych odpowiednio. Dawniej, przy robocie ręcznej, wyrób guzików wymagał 12 oddzielnych operacji, co pozwalało zręcznemu rzemieślnikowi wykonać do 40 grosów guzików na tydzień. Dość będzie powiedzieć, że produkcja mechaniczna, sprowadzając wszystkie operacje przy wyrobie do pięciu, podniosła powyższą wydajność o 1500%!

Nie należy jednak przypuszczać, że podobna mechanizacja usunęła w zupełności element ludzki z pracy. Przeciwnie: pewne fazy fabrykacji wymagają jednak bardzo wykwalifikowanych robotników, jak np. łupanie masy perłowej na drobne kawałki, wreszcie segregacja gotowego produktu pod względem koloru i jakości.



Prace - 1910.

Niezwykła wizyta



Fot. Dr. A. Wieszczek, Zakopane.

... „Gdzie pawiookie drzemią stawy”...

. (J. Kasproicz)

Jak przetrwać kryzys

Przełrwać kryzys — znaczy wykiwać go. Niech teroryzuje, a ty ofiaro nie przejmuj się, wiedząc zgóry i ze Starego Testamentu, że kryzys najwyżej trwać będzie siedem lat. Nie jest to bowiem tajemnica nawet dla dziecka, że po siedmiu latach chudych następuje siedem lat tłustych, podobnie jak po wódce następuje przekąska, po przekąsce — ryba, po rybie — pieczyste, po pieczystem — legumina, następnie czarna kawa z likierem i na ostatku dopiero protest weksłu.

Człowiekowi wygimnastykowanemu w opresjach kryzysowych nic nie może zaszkodzić — przeciwnie, wszystko obraca się na jego korzyść. Jest on, jak ten Szwed, o którym opowiada Zagłoba: gdy wpadnie lbem do przerębli — wypływa drugą dziurą, pochadzając od zarwania się przyjaciela, nadto zaś trzyma jeszcze śledzia w zębach. Zdarza się również, że taki nurek wraca na powierzchnię nawet z karpkiem w śmietanie. Znałe są również w naszym szlachetnym społeczeństwie i takie wypadki, gdzie idący jakoby na dno wydostaje się na powierzchnię, dosiadając wieloryba, lub, jak to się zdarzyło naszemu znakomitemu praszczurowi, Jonaszowi — we wnętrzu tego uprzejmego ssaka, który bez protestu pozwolił wyciągnąć się na ląd, a następnie rozplatać dla wygody zamieszkującego w nim pływaka.

Z wyżej wyluszczonych powodów przychodzimy do przekonania, że kryzys hartuje ducha, uczy sportu i staje się powodem do zrobienia kariery — nawet historycznej.

Nie mówmy wszakże na tem miejscu o bohaterach. Zajmie się nimi niewątpliwie historia i to z większą skrupulatnością, niż my to możemy uczynić. Natomiast, jak głosi tytuł, szukajmy środków prowadzących do przetrwania kryzysu, czyli do zabawienia się z tą poczwarą w ciu-ciu-babkę bez efektu schwyłania.



Sklepy spożywcze zachęcająco wystawiają ponętne kąski i przekąski

Za pierwsze ćwiczenie, prowadzące do pewnego zwycięstwa, uważać należy autosugestję. Jeżeli ktoś cię zapyta: — jak się masz? — odpowiedz mu: — dziś lepiej, niż jutro. Oświadczenie to bowiem utrwali cię w przekonaniu, że może być jeszcze gorzej, jednocześnie zaś dać ci tę niewątpliwą satysfakcję, którą wywołuje zawód sprawiony bliźniemu. Jak wiadomo poza tem, poczucie własnej wyższości ułatwia życie i pobudza do różowego światopoglądu. Kiedy po stosunkowo krótkim czasie (pół roku stosowania zalecanej autosugestji) okrzepniesz duchowo, możesz pomyśleć już o przejściu do wypróbowania metody zapobiegającej depresji ciała. Nie omieszkaj tego uczynić chociażby ze względu na zasadę: zdrowy duch lubi pęcznieć i dać się w jeszcze zdrowszym ciele. Zasady bowiem są żelbetem tężyzny narodowej i rozgrzeszają łatwo z ewentualnych fuszerok.

Przejdziemy więc do istoty rzeczy. Na tem

miejsu muszę się zastrzec, że jakkolwiek niżej podana metoda obmyślona jest dla najszerszych warstw, dotkniętych kryzysem, nie obejmuje wszakże tych, którzy z kryzysu



Mycie głowy według mojej metody

żyją, albo już z tejże racji umarli. Przeciwnie, ma ona raczej być postrachem dla kryzyso-rekinów. Ogłaszam więc ją tu konspi-

racyjnie, wiem bowiem dobrze o tem, że kryzyso-rekiny, ufając własnej inteligencji, do książek i pism nie zaglądają. Zadowolają się natomiast ostatnią rubryką w swym dzienniku — drobnymi ogłoszeniami swych ofiar. O umarłych zaś nie należy mówić wcale, albo tylko dobrze. Ponieważ zaś nie możemy uznać samobójców-bankrutów za ludzi szlachetnych i ludzi silnej woli, przeto nie będziemy o nich mówić wcale.

Otóż aby przetrwać kryzys, trzeba zdobyć się na pozornie skomplikowane stosowanie metody podanej niżej w zarysie ramowym, a nieopatentowanej dotychczas tylko dlatego, że nie miałem potrzebnej kwoty na opłacenie patentu, a niemniej i z obawy przed wyznaczeniem mi podatku dochodowego, obrotowego, dodatku do podatku, podatku od dodatku i t. d. Ekwiwalent dochodu mego, powstałego z ogłoszenia tej humanitarnej wielce metody antykryzysowej nie da się opodatkować nawet najsprytniejszemu fiskusowi — będzie to bowiem pomnik, wyobrażający mnie incognito, aby obowiązek płacenia podatku od obracania się mych wdzięcznych uczniów wokoło tego monumetu nie dotknął mych spadkobierców.

Pomnik ten wystawi mi wydawca. Tak. Ani się nie mylę, ani nie błaguję. Przyrzekł to uczynić, o ile sprzeda trzydzieści milionów egzemplarzy „Naokoło Świata”, zawierających ten doniosły artykuł. Gdyby zaś ponadto sporządzony w tym okresie spis ludności zmusił go do zwiększenia nakładu — zobowiązał się gwoździ uczczenia nieśmiertelnych mych zasług wypróbować podany niżej system na sobie.

Teraz, kiedy już wszyscy poznali skromnego autora i szlachetnego wydawcę tej wiekopomnej pracy, nie pozostaje nam nic więcej niż streścić przemysłne jej arkana. Zrobimy to systematycznie, gdyż sprawa tego wymaga. Co się składa na budżet przeciwnego kryzysowicza?

1. Komorne (nie mylić z rzeczownikiem rodzaju nijakiego: komornik, który we właściwym czasie nikogo nie ominie).

2. Żywność.

3. Zabiegi higieniczne.

4. Przygodziwek.

5. Godziwe rozrywki.

6. Komornik.

7. Komornik.

8. Komornik i t. d. aż do nieskończoności.

Zastanówmy się nad punktem pierwszym.

Pozycji tej, mającej bardzo wiele wspólnego z popularnem i szanowanem dziś słowem „komornik”, nie należy źle rozumieć. W tym celu wystarczy nabyć za jedne dwa-dzieścia groszy broszurę, omawiającą zawisłości ustawy o ochronie lokatorów i o biermem przewyciężaniu oporu tak zwanych kamieniczników. Po przeczytaniu, a zwłaszcza po zrozumieniu tej na daleką metę przewidującej i wybitnie pedagogicznej broszury (co trwać będzie dosyć długo, automatycznie wywołując mętlik, zwany moratorium) można mieszkać spokojnie dalej. Spokojnie mieszkać — to znaczy nie płacić komornego. Przy spotykaniu właściciela kamienicy na schodach należy mu się kłaniać uprzejmie, tą drogą poniekąd wyrażając mu uznanie za milczącą zgodę na treść tego wielce budującego dzieła, które dotychczasowych nąłogowców powstrzyma wreszcie od szaleństwa budowy. Należy również człowiekowi temu głęboko współczuć, że nie posiada więcej domów co pozwoliłoby mu niewątpliwie w szerszym zakresie wykazać humanitarność. Aby mu wszakże powetować tę przykrość, można zaciągnąć u niego pożyczkę. Wiadomo bowiem, że ludzie miłego i szlachetnego serca udzielają zapomóg w formie pożyczki tym, którzy wstydzą się żebrać.

Wydatki na żywność są w budżecie Polaka pozycją bodaj że najważniejszą. I słusznie. Wymaga tego klimat, nasza tradycja i nasz monopol wódeczany. Można bowiem mieszkać w „Cyrku”, w barakach, nawet pod mostem Poniatowskiego, ale jeść i pić trzeba rzetelnie, aby nie uchybić przepisom czciwego króla Sasa, aby przy stałe niepewnej pogodzie organizm posiadał zawsze dostateczną ilość paliwa oraz dla podtrzymania budżetu państwa, opartego, jak wiadomo, przeważnie na dochodzie od spożycia alkoholu. Rozumieją to śnać doskonale wła-

ściciele sklepów spożywczych, bo zachęcająco wystawiają ponętne kaski i przekaski w witrynach, a nawet wdzięcznie dekorują niemi wejścia. Nie zapominają również o niezbędnym dodatku — alkoholu we wszelkich postaciach.

Rzecz zrozumiała, że na ten widok w głowie kryzysowego spożywcy powstaje pytanie: jak to wszystko przeżyć?!

Otóż na to, aby jeść dobrze i wiele trzeba mieć przede wszystkim apetyt. (Czasem i... pieniądze, o ile nie uda się brać na kredyt). Zdawałoby się, że skorośmy przyszli bez trudu do tego przekonania, nie pozostaje już nic więcej, jak zamówić sobie owe kuropatwy, łososie, bażanty, pasztety, majonezy i t. p. frykasy i chrupać je z namaszczeniem. Aliści i na tej prostej drodze znajdują się jeszcze przeszkody kryzysowe: je się i tak zbyt wiele, gdyż wszystko to jest prowokująco tanie. Wobec tego nie każdy kryzysowiec ma stałe odpowiedni ad hoc apetyt. Ponieważ jednak każdy się ze mną zgodzi, że zwłaszcza w dobie kryzysu te liczne dary Boga nie mogą się marnować, przelo chętnie zastosuje podaną przeze mnie metodę — metoda ta zaleca bowiem jako skuteczny zabieg jednodniową głodówkę. Okazja do zastosowa-



...pozostaje tylko jedno — kartka na drzwiach wejściowych...

nia głodówki znajdzie się w każdym domu bez posądzenia ofiary o niestrawność. Pan domu może głodować chociażby dlatego, że by pani domu sprawić przykrość, co wpływa na nią pedagogicznie. Pani domu może uciec się do głodówki, aby ukarać męża chociażby za to, że odmawia jej kupna nowego kapelusza, sukni, lub futra — co dziś jest na porządku dziennym. Trudniej nieco będzie skłonić do głodówki teściową. Ta jednak, nawiasem mówiąc, i bez tego zabiegu zawsze jest przy apetycie i nawet kryzys jej nie zaszkodzi.

Zajmijmy się z kolei pozycją trzecią. A więc — nie ulega wątpliwości, że myć się

Każda rzecz ma swoją odwrotną stronę. Ma ją i ...frak



trzeba, chociażby dlatego, aby spadek zużycia mydła nie obudził w naszych sąsiadach daleko idących chęci do przewodzenia narodowi mało ucywilizowanemu. Można natomiast zaniechać używania perfum zagranicznych, zastępując się patriotycznie potrzebą podniesienia naszego bilansu czynnego. Można się nie strzyć ze względu na nadeżdżającą zimę (co zwłaszcza zaleca się łysym). Paznokcie najlepiej obgryzać, czemu sprzyjają dzisiaj liczne kłopoty i powszechne zdenerwowanie. Istnieje wszakże poza tem jeszcze jedna pozycja wydatków związanych z kalotechniką, zwłaszcza u kobiet. Jest to ondulacja. A właściwie może nie tyle sama ondulacja, ile potrzeba wysłuchiwania aktualnych plotek, opowiadanych przez fryzjera, pobierającego układowe za tę czynność (plotkowanie) napiwki. Otóż mycie głowy może sprawić żonie — uczynny mąż, pannie — troskliwy ojciec, co praktykuje się już z dobrym skutkiem na przedmie-

ściach. Kobieta z „wyższej sfery“, korzystając z mej metody, potrafi uczynić to sama. Ułatwia jej to głęboko pomyślane, a będące na czasie rozporządzenie o zamykaniu zakładów fryzjerskich o godzinie siódmej wieczorem. Należy tu podkreślić, że główka pięknej damy po domowym myciu i ondulacji przedstawiać będzie malownicze gniazdo bocianie, co niejednemu nasunie ostrzegawczą myśl o tajemniczych zaletach tego figlarnego płaka oraz wpłynie niechybnie na utrwalenie się cnoty niewieściej, dziś tak powszechnie niedocenianej. Będzie to nowy, moralny sukces kryzysu.

Idźmy dalej. Ubranie zarówno dla pięknej pani jak i dla dżentelmena jest to conditio

sine qua non, albo, jak powiedział już ktoś kiedyś — warunek, bez którego... precz za drzwi. I tu jednak metoda znajduje wyjście. Każda bowiem rzecz ma swoją odwrotną stronę. Ma ją i frak, a krawiec doskonale wie, gdzie strona ta znajduje się. Najczęściej tuż pod podszewką. Jeżeli zatem w dobie obecnej nastą-



...z abażura można uszyć niezwykle ponętną i modną suknię balową



...musi mieć wszakże jedwabne pończoszki i efektowne pantofelki

piło przewartościowanie, czyli odwrócenie pojęć, czemuż mamy unikać odwrócenia sukna frakowego na drugą stronę, *ulgo* nicowania? Można również to samo uczynić z każdą inną częścią garderoby. Jeżeli przy tej czynności zapicie lub kieszonka znajdą się przypadkowo po niewłaściwej stronie — można to nazwać kaprysem mody. Nietylko bowiem święci lepią garnki, i nietylko książę Walji ma monopol wprowadzania przepisów w tej dziedzinie.

Innego sposobu musi chwycić się kobieta, aby stworzyć dla siebie nową, czarującą „kreację”. Jak wiadomo, do niedawna modne były w salonach wysokie stojące lampy z powłóczystymi abażurami. Skoro dziś, w dobie kryzysu, istota, przezwana niesłusznie komornikiem, łaszczy się nawet na ten sprzęt niewinnego wykwinu — można mu lampę oddać, z abażuru zaś uszyć niezwykle modną i ponętną suknię balową. Jednego tylko nie może sobie odmówić pięk-



Teatry przezornie są zamknięte

nie nazwać musimy rozrywką godziwą.

Niema wątpliwości, że skoro ktoś mieszka dobrze na koszt kamienicznika i jeść musi nieźle wobec nadprodukcji produktów żywnościowych — to ma i ochotę do zabawy.

Jak wiemy, dla uszlachetnienia człowieka wymyślono wiele rozrywek. Znane są tu teatry, których nie jesteśmy obowiązani odwiedzać, gdyż są przezornie zamknięte; zna-

na pani. Na zgrabnych nóżkach musi mieć delikatne, jedwabne pończoszki oraz efektowne pantofelki. I oto gotowa jest całość balowa.

Czemuż jednak balowa?

W tem miejscu zbliżamy się do punktu czwartego naszej rozprawy: godziwe rozrywki. Jeżeli bowiem dzięki kryzysowi i z winy mężczyzn, kryzys ten powodujących — słusznie nazwać możemy niegodziwem skazywanie żony, córki, czy przyjaciółki na siedzenie w domu w szacie niczem nie przypominającej balowej, to dla kontrastu wszelką zabawę konsekwent-



Megafony uliczne zastępują sale koncertowe

ne są sale koncertowe, które doskonale zastępują megafony uliczne i t. p. Nie będziemy też wyliczać wszystkich rozrywek, pozostawiając wybór czytelnikom. Godzi się wszakże zwrócić uwagę na rozrywkę najmniej znaną, a mogącą przynieść nieocenione korzyści. Chciałem tu wspomnieć o czytaniu książek. Jest to zresztą zabawka dostępna dla wszystkich i wszędzie, gdyż znajduje się ją na wózku lub w koszu na ulicy.



*Jest to
zabawka
dostępna...
na wózku
ulicznym*

Tylko za „jeden złoty” można mieć rozkosz dłuższego obcowania z pierwszorzędnym grafomanem, dobrze zareklamowanym na szerokim świecie, a zwłaszcza u nas. Powieści niezwykle, precyzyjne dzieło maszyn, podobnie jak obuwie Bata, w jaskrawych okładkach, tłumaczone jednym z najkwiecistszych stylów, który tylko można spotkać jeszcze w naszych urzędach — zasługują ze wszelkim miar i miarek na poparcie w dobie kryzysu.

Poparcie to bowiem — zdezynfekuje nasz rynek księgarski — uratuje resztki fortuny tych naiwnych wierzycieli, których kapitały tłumacze-księgarze w ciętym zachwycie rzucili w paszczę obcej makulatury — wykończy wreszcie zastępy półgłówek, nie nadających się już dziś do uratowania wskutek intoksykacji ową cudzoziemską makula-

turą i ułatwi im ostateczne i bezpowrotne wejście do domu obłąkanych.

Operacja ta ulży społeczeństwu, wtedy odetchnie z ulgą.

A wtedy... i ostatnia nasza pozycja... komornik — zniknie z dróg wiejskich i ulic miejskich, niby wiodący na pokuszenie czart, po zaklęciu... *apage satanas!*

Tymczasem jeszcze, dla uzupełnienia mojej metody, podam prowizoryczny środek, zdążający do unieszkodliwienia komornika.

A robi się tak: zagrożeni licytacją stwa-

rzają konspiracyjne towarzystwo rozpaczliwej posługi. Codziennie wyznaczani delegaci w okazałej liczbie wartują przed jaskinią komornika i odprowadzają ukazującego się na miejsce kaźni, gdzie licytują zajęte graty *in minus* — przy zamkniętych drzwiach. Urzędujący komornik zbierze jedynie na pokrycie kosztów urzędowania. Należy przypuszczać, że to mu wystarczy. A towarzystwo satelitów niewątpliwie zyska jego sympatię. O wierzycieli — mniejsza. Kto ma na to, niech podczas kryzysu wierzy.

Dla niezrzeszonych dłużników pozostaje tylko jedno — na drzwiach wejściowych przykleić kartkę z napisem:

TY F U S

Sapienti Sat — i komornikowi, jako że nie głupi — również. mj.

KASYNO POWSZECHNE KRAKÓW, RYNEK GŁ. 13.

W. WASILEWSKA.

PRZYJA

CIOTKI
HENRYKI



IL. E. WIERZBICKI.

W-na Bronisława Rombek

Stare Miasto — Warszawa

Dla panny Henryki

Taki adres widniał na bładniebieskiej kopercie, porzuconej na okrągłym stole, przykrytym starym, podniesionym (z ziemi) do godności serwety, dywanem.

Panna Henryka nie życzyła sobie, ażeby nazwisko jej utrwalało się w pamięci jakiegokolwiek listonosza na jakimkolwiek starym mieście i dlatego wydała odpowiednie instrukcje, jak należy do niej ewentualne listy adresować.

Bronisława Rombek (w księgach ludności stalej zapisana: Rąbek), szyla jeszcze staromodnym zwyczajem, upinając suknie na drewnianej lalce od lat nie deformującej raz, kiedyś, nadanych kształtów kobiecych o jednakowo wydatnych, toczonych (z drzewa) biodrach i wojowniczo po-

danym naprzód biuście. W mieszkaniu wyżej wymienionej Bronisławy Rombek, w jednym pokoju odbywały się od rana misterja przymierzania sukien, tamże sama pracownia, w drugim zamieszkiwała panna Henryka X: bez nazwiska, bez zajęcia, bez awantur, aczkolwiek umówiona zgóry używalność kuchni miała się z czasem ograniczyć do rzadkiej możliwości usmażenia kilku sadzonych jaj na patelce. Co poza tem stanowiło pożywienie panny Henryki, tego salon młd p. l. „Bronisława” nie zdziaczał zupełnie do rodzaju swoich zainteresowań. Co do listów jednakże, to każdy systematycznie przechodził powierzchowną kontrolę (bez włamania do środka) właścicielki „salonu”, poczem dostawał się kolejno do rąk trzech podreęcznych, które z powagą przytykając kopertę do nosa, w ten sposób spodziewały się najprędzej wywachać zaklejoną treść. Prawdopodobnie i dzisiaj doszuki-

wały się tam „woni“ mężczyzny, ale to, jak zwykle, pisała Elżbietka z Borysławia, nieszczęśliwa ze swym mężem, cenionym inżynierem górniczym.

Elżbietka od wielu lat korespondowała z Henryką, gdyż nigdy z nikim innym nie udało jej się korespondować w życiu, a co lubiła bardzo, zresztą, miała o czym, bo była bardzo nieszczęśliwa (jak wyżej).

Listy tej niestrudzonej przyjaciółki od pięciu lat zaczynały się od słów: „Kochana moja i jedyna Heniu!“, poczem niżej treść, więcej lub mniej gorzka.

Panna Henryka, zgóry wiedząc, co ją czeka, ułamała kawałek mlecznej czekolady i niezupełnie ubrana, usiadła z listem w samym słońcu w oknie.

Wtedy na całym Starem Mieście w Warszawie, była godzina dziesiąta, albo kilka minut po lub przed, albowiem w każdym domu inaczej.

„Kochana moja i jedyna Heniu!

Gdybym jeszcze i Ciebie straciła, nie miałabym już po co żyć na świecie! Ty jesteś jedyną istotą, która mnie rozumie i która mnie nigdy nie zdradzi. Wczoraj podglądałam pod oknami Zygmunta, co się tam w tem jego biurze dzieje. Wszystkie maszynistki śmiały się do rozpuku, a robota stała. Nie wiem dlaczego, ale chyba od urodzenia niecierpiałam maszynistek! Nie bierz tego czasem do siebie, bo, po pierwsze — wiesz, jak ja Ciebie kocham, a po drugie — już pięć lat, jak nie jesteś maszynistką. Ale nie zazdrość mi czasem mojego losu, chociaż przez całe życie palcem o palec nie uderzyłam i nigdy nie uderzę, chociażbym miała gryźć suchy chleb, — przedewszystkiem na złość mężowi, chyba, że mnie opuści, czego na szczęście wcale się nie spodziewam. Tak to się mówi, moja droga, że on jest taki, owaki, i wogóle zastruł mi całe życie, ale jak go je-



Zamówiła 1/2 kila poziomek

den dzień niema, możesz sobie każdej chwili wyobrazić swoją przyjaciółkę, siedzącą w palcie w przedpokoju, na pierwszy gwizdek gotową do ucieczki. Tylko wtedy, kiedy go niema, wyobrażam sobie pożar naszego szybu, popłoch i jednym słowem nieszczęście, a ja tu sama i bezbronna. To wszystko nerwy i gdyby nie była taka leniwa, sto razy powinnam być już w Warszawie u doktora. Chociaż nic nie robię, ale, że się ciągle zamartwiam, więc właściwie nie mam nawet kiedy o sobie pomyśleć. Jestem naturalnie ciągle smutna i blada (szkoda, że nie możesz mnie teraz oglądać!), mało jem, a jednak znowu przytyłam. Dla Zygmunta to co prawda wszystko jedno, bo on jest taki ciągle zmęczony i zapracowany, zresztą wcale nie ma gustu, więc o niego mi nie chodzi, — ale ja, ja sama, jeżeli kiedykolwiek wyrwę się z tego okropnego życia i stanę oko w oko z ludźmi — to poco mam być taka gruba?! Nie powtarzam Ci od początku całej tragedji mego życia, bo wszystko to już wiesz na pamięć, zresztą, mogę Ci powtórzyć jeśli chcesz.....”.

Tu panna Henryka przerwała olbrzymi list od przyjaciółki i przechyliwszy się w oknie, zamówiła pół kila poziomka u stojącego na pustym rynku dziadka.

Zanim załatwiła w kuchni odważenie czerwonych jagódek, doczekała się reszty i zaspokoili wrodzoną próżność, pokazując swoją rozrzutność w pracowni, gdzie przymierzano na pierwszej, jeszcze niemytej, klientce tego ranka — upłynęło sporo czasu, tak, że aż sam list się znecierpliwiał i przy pierwszym podmuchu swawolnego wiatarka — wymknął się za okno.

Ponieważ po najdokładniejszym przeszukaniu całego pokoiku, listu jednakże nie było, panna Henryka pełna nagle zrodzonych niespokojnych przeczuć, gdyż, kto wie, co

mogło być przy samym końcu listu, gdzie właśnie Elżbietka miała zwyczaj opisywać zdarzenia codziennego życia, proste i mniej powikłane, tem niemniej dla panny Henryki potrzebne i ciekawe — pośpiesznie usiadła tym razem plecami do okna i napisała możliwie nie zdradzając stanu swego ducha, ten list tak przyjacielski!

„Moja ty nieszczęśliwa!

Los na nas kobiety już całe życie taki nie łaskawy! Przy Twoim stanie duszy, cóż znaczy moje największe cierpienie, którego nikt nawet nie uzna, więc nawet Ci o niem nie piszę, zresztą, zdaje mi się, że nawet nic takiego nie mam w tej chwili. Gdy jednak dolega mi cośkolwiek, to jedno przypomnienie Twojej bladej twarzy męczennicy w tych okropnych, zakopconych górach i w tem smutnem otoczeniu pracy i znoju — każde moje cierpienie pomniejsza, ale też i każdą moją radość zatruwa...

Nigdy jeszcze nie wzruszyłaś mnie tak swoim listem, jak dzisiaj! Płakałam jak bóbr w tem miejscu, gdzie opisujesz od początku wszystkie tragedje swego życia z tym człowiekiem, po kolei. Będę ten list zawsze nosiła przy sobie, moja ty nieszczęśliwa Elżbietko! Nie bardzo tylko mogłam odczytać, coś napisała tam przy samym końcu, więc jeśli to coś ważnego, to napisz mi natychmiast jeszcze raz. Kończę, bo jestem dziś okropnie zdenerwowana i od samego rana płacząc.

Twoja do śmierci Henryka”.

Ale w rzeczywistości panna Henryka była tylko wściekła i przede wszystkim chyba od dziesięciu lat już nie płakała, bo nigdy nie miała dosyć irytującego, nie mówiąc już smutnego, powodu. Była to osoba nawskroś zahartowana, mocno niewrażliwa i mistrzowsko praktyczna, przytem młoda jeszcze i ładna, z których to dwu dobrodziejstw często ro-

biła użytek na niekorzyść niedość sprytnych mężatek, które w następstwie odnosiły niepowetowane szkody — w mężach... Panna Henryka miała tę pasję zapewne od urodzenia, ukrywania swej właściwej, zgoła wampirycznej istoty, czego jednak nigdy nie zdawała się domyślać biedna, nieszczęśliwa Elżbietka, żona cenionego inżyniera z Borysławia.

Jak w czasie dawnej, tak zażyłej znajomości tych dwu kobiet, które się odnalazły i zrozumiały między sobą, namiętnymi, wyższymi jeszcze od



Własnoręcznie wrzuciła listy

podkarpackich wyżyn — tak i w listach potem, panna Henryka dostrajała się niemal całkowicie do typu upodobań, wierzeń i nawet zmiennych nastrojów swojej przyjaciółki-mężatki. Była cieniem, wiernym zwierciadłem tamtej rozkapryszonej i leniwej kobietki, w porę, błyskawicznie zmieniając swoje smocze serce na współczujące, tklive serce gołąbki...

Widocznie pannie Henryce było to potrzebne...

Po skończeniu listu o tak mazgajowatym tempie, panna Henryka nabazgrała ołówkiem pośpiesznie list drugi, który już miał całkowicie jej duszę!

„Do licha z takim życiem! Wszystko jest już na wyczerpaniu: od nerwów do pieniędzy — i z powrotem! Żyję samymi poziomkami, ażeby Ci się przypodobać, ale i to kosztuje. Ciągłe Ci muszę przypominać, że albo się kogoś utrzymuje, albo nie. Nie zawsze coprawda jest to zaszczyt dla tego, kogo utrzymują, ale w danym wypadku, — przypominam Ci i to jeszcze, — prawdziwy zaszczyt przypadł tutaj całkowicie Tobie! Mogę Ci być wierną najwyżej jeszcze dwa, trzy dni, poczem przechodzę na inny rachunek. Przyjedź, albo przyślij! Jeżeli wierzysz jakiś nowy szyb, to nie zapomnij o naszej niepisanej umowie — Twoja Mała Muszka.

P. S. Naszej biednej Elżbietki nie całuję przez Ciebie, boby mnie chyba przy całej swojej anielskiej pokorze — ugryzła...”

Panna Henryka własnoręcznie wrzuciła oba listy na pocztę i z powrotem zaszła do Italiki. Rzadko jadła przez oszczędność obiady (w ten sposób rozmyślnie pomnażając w P. K. O. Skarb Narodowy i własny), ale daleko rzadziej mogła sobie odmówić ciastek, albo wprost samego widoku ludzi, lub samych tylko kobiet. Patrząc na te kurtyzany, tu i tam rozsiadłe, doskonale wypoczę-

te i utrzymywane — panna Henryka zawsze uprzytomniała sobie z żalem dręczącą niesprawiedliwość, czemu ona aż pięć lat musiała zapracowywać się zalotnymi uśmiechami i podwójną, czasem trudną grą między niewiernym małżonkiem i oddaną przyjaciółką — na taką oto marną egzystencję z łaski pana dyrektora, fanatycznego cherlaka, który poza progiem swej łachowej wiedzy i swojego biura — był bez jakiegokolwiek rutyny, idei i doświadczenia.

To panna Henryka była zdaleka, ze skromnej, wiecznie zalanej ropą uliczki w Borystawiu, całą sprężyną domu inżynierów. To ona zawczasu przygotowywała sprzeczki, ona podstępnie w czułych objęciach przyjaciółki i z łez jej poznawała słabe strony męża, to ona wreszcie, piastując najskromniejsze stanowisko najmniej wprawnej maszynistki, potulnie stając z papierami przy biurku — zdrowa, dzielna i wyzywająca — wyśmiewała przed spłoszonym, nieporadnym, bezbronnym wobec jej uroku mężem — niedołęstwo jego żony, anemiczne ciało i sentymentalną duszę! Rzucała mu na stół papiery i wybiegała pewna siebie, nie pozwalwszy nawet dotknąć się ręki.

Kiedy słabość tego mężczyzny coraz częściej kazała mu przychodzić na brudną, cuchnącą uliczkę i dostukiwać się w uparcie zatrzaśnięte drzwi (które tylko od czasu do czasu otwierała) — panna Henryka, obliczwszy sobie sama wysłużone procenty — uciekła (z powodów rodzinnych) do Warszawy...

Odtąd właśnie zaczął się rozpaczliwie listy anemicznej Elżbietki, czyniącej sobie nieskończone wyrzuty, że nigdy dosyć nie kochała męża i który najwidoczniej cierpi z tego powodu, stając się coraz bardziej milczącym i zapracowanym.

Rozmyślania te towarzyszyły dzisiaj pannie Henryce aż do samego

domu na Starem Mieście, gdzie wołała w cichym triumfie swego serca i bez troskiej nudzie utrzymanki — przepędzać czas na kolorowym hafcie i na kolorowych marzeniach: (być w Hollywood!.. być w Hollywood!..), niż mieszkać w szumnym zgiefku wielkomiejskim i wesoło żyć, chociaż inżynier zapłaciłby i za to!

Nie, panna Henryka była oszczędna do przesady. Żyła raczej czarną kawą i marzeniami, czasem tylko pozwalając sobie na takie oto, ni stąd ni zowąd, poziomki, a czekoladę miała zawsze od kogoś.

Ta czarnobrewa, zgrabna sylwetka miała słuszną podstawę do grożenia inżynierowi, że każdej chwili, bez specjalnych starań, może przejść na inny rachunek...

Nie zostało stwierdzone jeszcze przez nikogo, czy pan Bruno B. rzeczywiście zasadzi na gruncie Warszawy jeszcze jedną sadzonkę wytwórni filmowej, nie było wiadome nikomu, ile właściwie ma na to pieniędzy — w każdym razie jednak i przedewszystkiem i bezwzględnie — pan Bruno B. wyjedzie przedtem do Hollywood! To jedna afera pana Bruno B. Drugą — była uparta, żarłoczna, niepohamowana żądza zdobycia panny Henryki, dziwnie tajemniczej, o spojrzeniu gorącym i zimnym jednocześnie, istoty zalotnej umiarkowanie, sprytnie i — celnie! Pan Bruno B. przepadał właśnie za takim wyrafinowanym wdziękiem, a panna Henryka odczuła to odrazu i z rozkoszą... Poza tem odczuwaniem, każde na swój sposób, zdaleka, przy największem ograniczeniu widywał z panem B. — nie nie łączyło z nim panny Henryki, do zapowiedzianych dwóch, trzech dni — uczciwie wiernej swemu inżynierowi.

Kiedy trzeciego właśnie dnia przyszedł list i znowu od Elżbietki, panna Henryka miała już gotowe postanowienie — zerwać z inżynierem, który zlekceważył jej groźbę.

Ponieważ lało, jak z cebra, panna Henryka i tym razem usiadła (o tej samej porze) w oknie, lecz tym razem zamkniętym. List był przede wszystkim cały w lila plamy, co z miejsca uświadomiło Henrykę, że musiał być oblany łzami, co nietylko nie wzruszyło, jak należy, przyjaciółki, lecz wręcz wzbudziło odrazę: „idjotka! Oni się dobrali”!

Panna Henryka w żaden sposób nie mogła zacząć listu, gdyż nigdzie nie było: „Kochana moja i jedyna Heniu” — dotychczas orientacyjnego znaku.

Zatem zaczyna się on prawdopodobnie stąd:

„Heniu — wyjdź zamaż jak najprędzej! Dopiero wtedy poznasz całkowicie mężczyznę (jeżeli będziesz tego kiedykolwiek chciała). Ale musisz mieć cierpliwość! Musisz mieć

koniecznie taką samą anielską dobroć i cierpliwość, jaką ja miałam! Musisz wylać tyle samo łez w poduszki, ile ja się przedtem napłakałam! Ach, milczyć i cierpieć, cierpieć i czekać... czekać...

Tylko z lenistwa nie chciało mi się oderwać tej drugiej części, tak ponurej, mego ostatniego listu do ciebie, gdzie, jak zawsze, była smutna i zgnębiona, ale przecież sama czytałaś, że dokończyłam go w nastroju najszcześniejszym, że zamiast opisywać ci od początku wszystkie moje troski małżeńskie — opisałam Ci moje wielkie szczęście, które stało się prosto w trakcie pisania owego listu. Nie dziwię Ci się, że płakałaś, jak bóbr, pewno znowu z powodu moich dawnych cierpień — zresztą, tylko do tego miejsca „jak bóbr” przeczytałam Twój list i, nie gnie-



■ Zygmunt wziął urlop i czmychnął na Rivierę

waj się na mnie, ale zaraz ze wszystkimi Twojemi listami, przez tyle lat, gdzie mnie tak bardzo, najdroższa moja, prawdziwa przyjaciółko, pocieszałaś i razem ze mną cierpiełaś — spałitaś. Tak, bo nie chcę już nawet wspomnień z tego czasu kiedy byłam tak bardzo niesprawiedliwa — dla Ciebie i dla swego męża... gdzie go podejrzywałam — oh, przebac mi! — o romans z Tobą!! dlatego byłam dla Ciebie tak dobra i wylana, ażeby w ten sposób, niegodny i podstępny, (ach, jakaż ja byłam podła!), wydobyc z Ciebie sama, kiedyś, tę prawdę, wzruszyć Ciebie mojem udaniem cierpieniem! I oto dzisiaj, dzisiaj moja droga Heniu — kiedy wiem już z ust samego męża, że owszem ma jakąś i od wielu lat kochankę — ale nigdy Ciebie, kiedy mi się przyznał, jak jej ma już dosyć, jak ona go kosztuje i kiedy wreszcie razem postanowiliśmy, jak z nią ostatecznie skończyć — powiedz, najdroższa, gdzie jest szczęśliwsza kobieta ode mnie i gdzie jest lepszy i uczciwszy mąż?! Przy końcu swego listu, — jak wiesz, to mój niezwalczony nałóg — napisałam Ci wtedy rzecz najważniejszą: Zygmunt wziął olbrzymi urlop i czmychnął pierwszy na Riwierę, do tego stopnia boi się mieć jeszcze jakiegokolwiek spotkanie z tą okropną kobietą, która podobno w sposób zupełnie ordynarny domaga się pieniędzy! Chciał jej posłać daleko mniej, ale uprosiłam go, żeby jej dał więcej (już ja wiem, że to najlepsza gwarancja!) i wysłał jej, biedaczysko, tyle, że chyba jej starczy aż do samego Hollywood, bo to nadomiar złego jeszcze, jakiś niedoszły, albo przyszły „vamp” kinowy. Widzisz — do jakiego stopnia jestem nie zazdrosna, wyrozumiała — i mądra... ale to wszystko ze szczęścia, tylko ze szczęścia! Oh, możesz być pewna, że ja go zawsze kochałam i zawsze wierzyłam, że on się do wszystkiego przyzna — tylko długo musiałam czekać i niepotrzebnie po-

dejrzewałam tyle czasu — Ciebie, moja Ty biedna i niewinna Heniu... Ale teraz, żeby Ci się jakoś za tę krzywdę odwzajemnić — znowu najważniejsza rzecz na samym końcu! — zabieram Ciebie na mój własny koszt na Riwierę! Co za niespodzianka dla mojego Zygmunta, który o tem nie wie! Muszę Ci powiedzieć, że moje własne akcje, które sobie cichaczem kupowałam, poszły tak wysoko w górę, że jestem poprostu bogata! Zygmunt czeka mnie od dzisiaj za tydzień. Masz jeden dzień do namysłu, zresztą nie wyobrażam sobie, ażebyś mi mogła teraz zepsuć mój najlepszy humor, chyba — że się na mnie gniewasz?... Pakuję się i czekam — na twój, jak zawsze, rozsądek... E."

Panna Henryka zerwała się bledziusińska z krzeselka, żeby zatrzaskać drzwi od „salonu mój”, z którego dochodził chichot i gwar, jak nigdy. W połowie drogi przystanęła, gdyż w drzwiach stanął listonosz, trzymając w ręku czek...

Panna Henryka podpisała szybko i obojętnie — ile? mniejsza o to! Pierwszy raz w życiu mniejsza o to!

Listonosz także nie domknął drzwi, więc z tego, co się działo w pracowni i o czem się mówiło — zrozumiała, że dużo, dużo musiała otrzymać pieniędzy... Samo to przypuszczenie, same domysły już ją wzruszyły, zresztą może i nie tylko to: być może panna Henryka miała jakieś swoje, po swojemu wrażliwe i ambitne serce... Nie chciało jej się w tej chwili iść za radą Elżbietki z Borysławia i płakać w poduszkę — płakała poprostu na to, co było pod ręką: na dywan, podniesiony do godności serwety. Doprawdy, ile łez: i na dywan i na ładne ręce z pierścionkami i na złoty przekaz (ile właściwie?...).

Wreszcie, spłakana ale rozsądna, napisała list:

„Z czegoż więcej mogłabym się cieszyć w życiu, jak z tego, że prze-



Zgodziła się pojechać do Hollywood

stałaś mnie wreszcie niewinnie podejrzewać! Ponieważ odwołujesz się do mego rozsądku, więc Ci odpisuję w tym sensie, że chyba nie niemądrzejszego nie mogłabym zrobić, jak pokazać się teraz Twojemu mężowi, bo wiedz, że nie tak nie otwiera oczu mężczyźnie, jak właśnie usilna chęć z naszej strony, aby zamknąć mu te oczy na coś, czy na kogoś (zresztą, to samo jest i z nami). Teraz, kiedy zaczęłaś mu niebacznie mówić o mnie i wyjawiałaś swoje podejrzenie — wystarczyłoby, aby mnie raz tylko

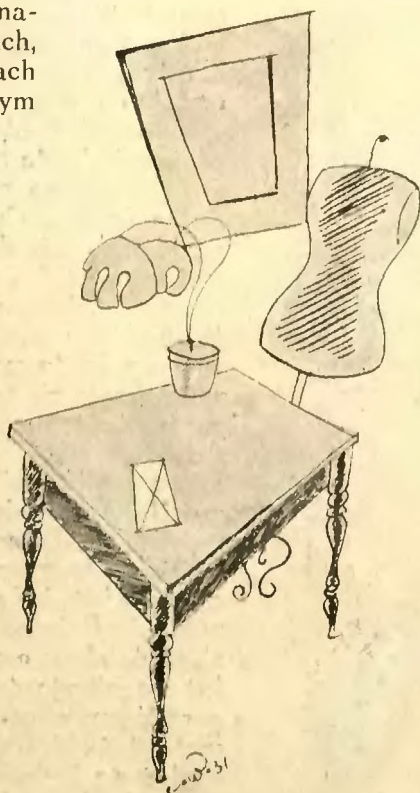
zobaczył — i nieszczęście gotowe! I dlatego, kochana Elżbietko, dla Twego własnego dobra — odmawiam Twjej miłej propozycji!... Wolę już sobie odrazu pojechać do Hollywood, bo i ja mam, jak tamten nieszczęsny, jak ty mówisz „vamp“, ochotę, no i zdaje się — zdolności... Co do „odszkodowania“ dla tamtej osoby, to zdaje mi się, że nigdy nie jest dosyć dużo — zawsze, ostatecznie, zostawia się na bruku... Całe szczęście, że Ty miałaś to swoje dobre serce, bo Twój mąż zawsze był bardzo oszczędny! Na świecie niema chyba nic niemożliwego, kto wie, czy nie spotkam w owem Hollywood kochanki Twego męża (może się tak zgadnąć) — przyznasz, że to musiała być sprytna dziewczyna, no, ale i on nie głupi! Przypomnij sobie — tyle niewinności! Bawcie się dobrze i Ty narreszcie bądź szczęśliwa. A, żeby Ci łatwiej było zapomnieć o przeszłości, obiecuję już nigdy więcej do Ciebie nie napisać. Całuję Cię serdecznie i chociaż miałabym o co, ale nie chcę mieć już do nikogo żalu, najwyżej przypomnij przy sposobności Twojemu mężowi, że obiecał mi jeszcze kiedyś, kiedyś, że będę miała pewien udział w zyskach... właściwie jednak nie chodzi mi już o to dzisiaj wcale, bo mam już nowe conto — powiedz mu to.

Twoja do śmierci Henryka“.

W godzinę potem miała już pieniądze w ręku (pocziwa Elżbietka!), widziała się już z panem Bruno B. i wieczorem, naturalnie całkowicie polegając na nim i na jego potężnych zasobach — zrodziła się po wielu, wielu wzdrażaniach (sztucznych, przy sztucznych światłach Italki) — pojechać z nim do Hollywood, zaś sadowonka (lub nie) nowej wytwórni filmowej na gruncie Warszawy potem — była jej zupełnie obojętna!

Co do pani Bronisławy Rombek, panna Henryka zachowała się również bardzo dobrze: wszystkie sukienki

na wyjazd zrobione były (przez oszczędność) w salonie mód p. l. „Bronisława” i nocami, kiedy panna Henryka sprawiedliwie spała — upinane były na szerokich, drewnianych biodrach i wyniosłym, dzielnym biuście.



A jedna z panien upinających do dzisiejszego dnia nosi w torebce znaleziony list pod oknem, którego w żaden sposób nie miała odwagi oddać pannie Henryce, tyle tam było „mężczyzny” — to, co one wszystkie trzy już przypuszczały od dawna!

OSTATNI WYRAZ POSTĘPU
F. L. KO
690 **EL BARR**
ZA
MORSEGO
WYŁĄCZNA
REPREZENTACJA **SKORAISKA** POZNAN
ALEJE MARC. 23.



Fot. Janina Mierzecka, Lwów.

Simionda
Dzieweczyna



Fot. J. Bulhak, Wilno.

W odwiecznej puszczy

Film astronomiczny

Zastosowanie kinematografu w rozmaitych dziedzinach nauk dało, jak wiemy, wspaniałe rezultaty. Jedną tylko astronomia wydawała się być niedostępna dla filmu. Ten rodzaj zjawisk, który ona obejmuje, nie odpowiadał wymaganiom sztuki filmowej. Zjawiska niebieskie były za słabe, aby je można było przenieść na ekran. Dopiero zbudowanie olbrzymich teleskopów zwierciadlanych, jak np. reflektora obserwatorium na Mt. Wilson, którego zwierciadło ma średnicę $2\frac{1}{2}$ m., pozwoliło użyć kinematografu do filmowania ciał niebieskich. Pierwsze próby wypadły zadawalająco, tak, że wkrótce ujrzymy na ekranie, jak przez wielki teleskop, cuda wszechświata gwiazdowego.

Już bowiem podczas całkowitego zaćmienia słońca w r. 1927 niektóre z wypraw naukowych miały za zadanie dokonania zdjęć filmowych zjawiska. Również pierwsza polska wyprawa naukowa do Japonii dla obser-

wacji powyższego zaćmienia, prócz innych spostrzeżeń naukowych, dokonała jeszcze i sfilmowania zjawiska.

Filmowanie zaćmienia odbyło się w ten sposób, że z tyłu tuby metalowej, zaopatrzonej w obiektyw, umocowano aparat kinowy. Podczas nakręcania korbką taśma filmowa przesuwana się w płaszczyźnie ogniskowej obiektywu z szybkością dwu obrotów na sekundę, co w rezultacie dawało po 16 zdjęć tarczy słońca w ciągu sekundy. Otrzymywane na taśmie obrazy słońca miały średnicę 1 cm. Sfilmowano jednak nie cały przebieg zjawiska, lecz tylko zetknięcia się tarcz księżyca i słońca, a to ze względu na ważność tych momentów zaćmienia słońca.

Niedawno w obserwatorium na Mt. Wilson (Kalifornia) po dłuższych próbach zapomocą $2\frac{1}{2}$ -metrowego reflektora-olbrzyma udało się sfilmować i naszego satelitę.

Po ustawieniu aparatu kinowego w ognisku



Krajobraz księżyca. Południowa część powierzchni w ostatniej kwadrze

powyższego reflektora rozpoczęło trudną i uciążliwą pracę filmowania powierzchni księżyca. Po kilku nocach takiej pracy zdolano otrzymać piękny film przedstawiający znikanie „pejzaży” księżycowych w ciemnościach nadchodzącej nocy. Film ten na ekranie dał imponujący obraz martwych krajobrazów naszego satelity. Ukazały się potężne kraterzy z ostre szczytami, niży iglice, rzucającymi długie stożkowe cienie, które, w miarę zbliżania się słońca ku horyzontowi, wydłużały się coraz bardziej i bardziej i wreszcie pokryły doliny i zbocza gór. Świeciły jeszcze tylko wierzchołki gór księżycowych jak gorejące pochodnie, ale i te zmniejszały się szybko, aż w końcu zupełnie zgasły i noc czarna objęła w swe posiadanie daną okolicę „srebrnego globu”.

Również próbowano sfilmować i planety. W tym celu wybrano olbrzymią planetę Jowisza, jako najlepiej widzialną ze wszystkich planet. Sfilmowania dokonano w obser-

watorium Licka (Kalifornia), gdzie w ciągu kilku nocy otrzymano zdjęcie całego obrotu planety.

Rezultaty zdjęć okazały się zadawalające, pomimo, że trzeba było pokonać rozmaite trudności natury technicznej.

Filmy powyższe zostały wyświetlone w wielu miastach amerykańskich i europejskich, wzbudzając ogromne zainteresowanie wśród publiczności. Widok na ekranie obracającej się olbrzymiej planety wraz z krążącymi koło niej księżycami oraz znikanie krajobrazów księżycowych w ciemnościach nadchodzących nocy — to niezwykle emocjonujące filmy, przenoszące nas w światy nieznane.

Spodziewamy się, że może filmy astronomiczne ukażą się i na naszych ekranach, przyczyniając się w ten sposób do popularyzacji astronomji wśród naszego społeczeństwa.

M. Białęcki

NIC ŁATWIEJSZEGO

jak przyrządzenie
doskonałej herbaty

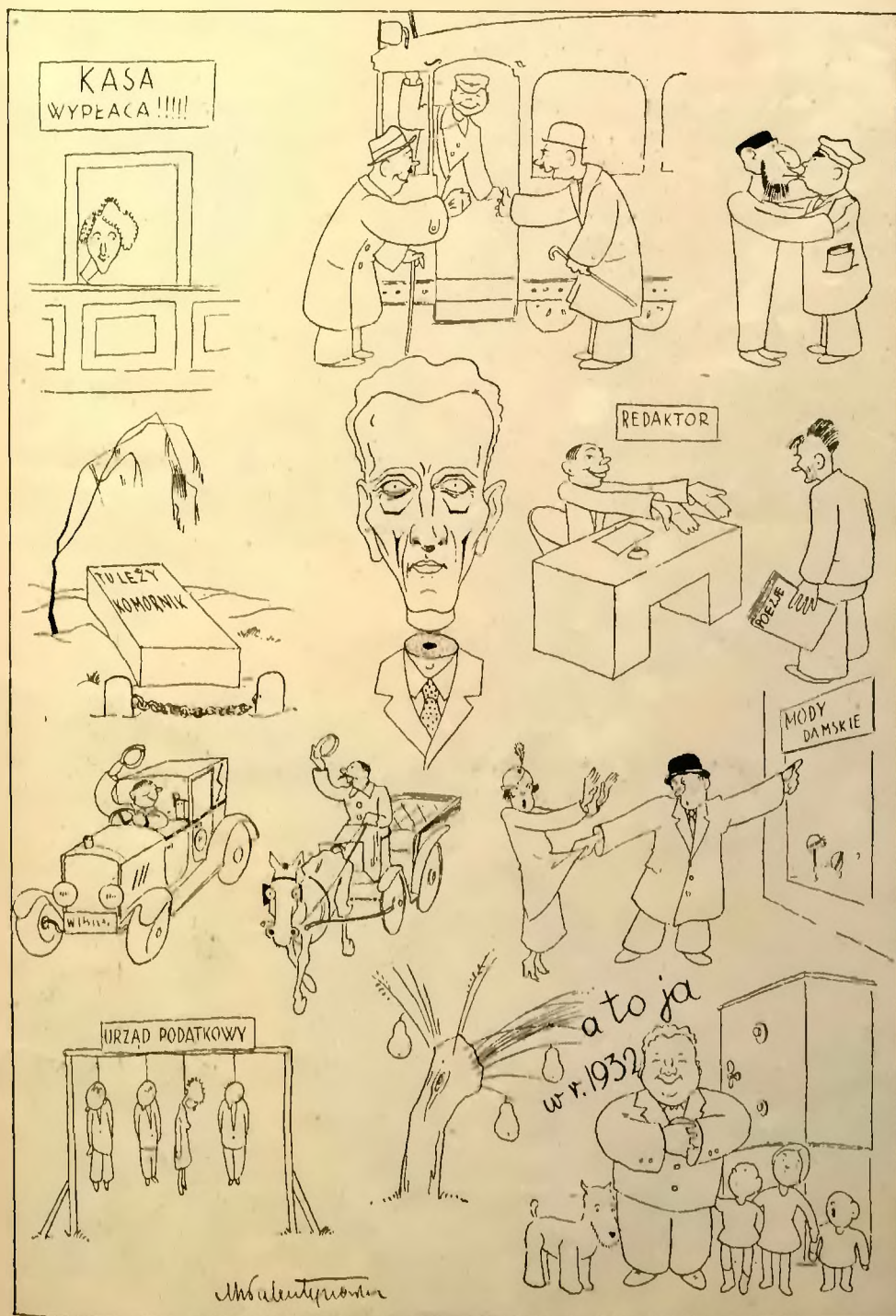


WYSTARCZY:
imbryczek
gorąca woda
i paczka

HERBĄTY LIPTONA



Marzenia ściętej głowy



Jak to będzie w 1932 r.

Panna Ewa Samochodzińska

Trudno zaprzeczyć, że nie jest dobrze, jeśli ktoś zamiast głowy posiada na karku oponę samochodową, względnie zwykłe koło! Można by o takiej osobie powiedzieć bez żadnej przesady, że jest „kołowata”. I chociaż nie brak nam bynajmniej dziś ludzi „kołowatych”, to jednak przyznać trzeba, iż starają się oni zachować pozory i nazewnąwszy różnią się wiele od otoczenia mniej lub więcej normalnego, a na karku noszą zwykle sobie głowy z przynależnościami.

Dlatego też jedna z uroczych przedstawicieli sportu samochodowego, których całą grupę widzimy na poniższej fotografii, niesamowity swój wygląd zawdzięcza wyłącznie nadmiarowi inicjatywy twórczej młodego „montera” fotografii, który w pogoni za oryginalnością przesadził nieco w swej syntezie. Połóżmy to jednak na karb nieopanowania.

W codziennej rzeczywistości pani z oponą zamiast głowy jest osobką naprawdę przeziębłą i uroczą. Ładna, zgrabna, ruchliwa i wesola, jest przecież inicjatorką specjalnego kursu automobilowego dla pań. Bez niej cała impreza nie powiodłaby się zupełnie i panie-automobilistki, kierujące samochodami, znalazłyby się nadal w sytuacji bez wyjścia, gdyby wypadło im, podczas samodzielnej podróży własnym autem, na przykład zmienić koło lub choćby uruchomić motor zatrzymanej z jakiegoś powodu na bezludziu maszyny, w której starter przestał działać. Jak się wziąć do tego, z której podejść strony?

A propos sytuacji bez wyjścia!

Znam pewną automobilistkę (z widzenia), skądinąd dzielną podobno osobę i matronę. Ciągłe jeździ. Nic — tylko jeździ. Samochodem. Po mieście, po szosach. A jest





przytem dragońskiego wzrostu, a i bardzo potężnej tuszy. Jeździ zwykle bez szofera.

Pewnego razu, było to na szlaku Warszawa — Gdańsk, jadę sobie i ja szosą wśród lasów. Lato. Upał. Słońce praży, a na szosie kurz. Z odległości już spostrzegam przed sobą stojące na drodze auto bez pasażerów. Podjeżdżam i przystaję.

Wpoprzek, pod samochodem, ktoś leży — wystają nogi kobiece w pantoflach sportowych.

— Może pomóc trzeba? — pytam uprzejmie.

— Ależ tak, panie, błagam o ratunek, rady sobie dać nie mogę. Już ledwie żyję — odzywa się głos z pod wozu.

— Służę. Co się stało? — zaglądam pod wóz...

Stało się nieszczęście! Osobą pod samochodem jest właśnie owa pani potężnej bardzo tuszy.

— Drobiazg — mówi zasapana matrona — zauważyłam, że oliwa wycieka ze zbiornika.

Musiałam wejść pod samochód. Kran był niedokręcony. Już jest dobrze, tylko... niech mi pan pomoże wyjść!



lewar? Zaraz wyswobodzę panią z tych ponurych uścisków. A dawno już pani trwa w tej przykłej sytuacji — pytam w trakcie roboty.

— Już chyba z pół godziny.

Ladna historia! A upał! A słońce praży! Zasobna pani pęcznieje z każdą chwilą. Zagrzezła pod samochodem i ani w prawo, ani w lewo.

— Przepraszam, ale jakże pani tutaj weszła, skoro teraz wyjść nie może?

— Udało mi się jakoś... ale niechże mi pan pomoże...

Łatwo powiedzieć! Ach cóż ja pocznę nieborak?... Jest! jest sposób!

— Jeszcze chwilę cierpliwości. Gdzie jest

Dwoma lewarami podniesiony przód samochodu zwolnił z pułapki nieszczęsną ofiarę. Łatwiej jest czasem wejść, niż wyjść!

Zupełnie niesłusznie oczywiście i całkiem mimowoli zanuciła mi się piosenka na melodię „Miałeś chamski złoty róg” z „Wesela”, pod słowa: „Nie kładź palca między drzwi”. Ale stop! Cóż to wszystko ma do rzeczy? Chyba tyle, że nie w każdej jednak sytuacji nawet bardzo wytrawny automobilista da sobie sam rady, czyli, że nawet taki znaleźć



się może w sytuacji „bez wyjścia”.

Wróćmy wszakże do panny Ewy Samochodzińskiej, tej z oponą zamiast głowy.

Kiedym ją ostatnio widział odwiedzając kurs dla pań, była smutna i przygnębiona. Nawet zbrzydła.

— E, bo panie, straszna bryndza we wszystkim! Wszędzie bryndza, wszędzie mięta... Co tu mówić. Mówi się, że wszystko staniało, a pieniądze drogie. Niema za co jeździć, a zresztą niema czem i prawie niema po czem... Zaraz, zaraz! Że niema za co — to zrozumiałe, bo i skąd, kiedy nikt nie ma pieniędzy. A niema czem, bo z powodu pierwszej przyczyny trzeba było zdjąć numery z samochodu, niby na zimę, a w gruncie rzeczy na kryzys! A po trzecie, z drogami coraz gorzej. Choć to poniekąd zimowy remont szosy przy pomocy śniegu, równającego nierówności i wyhoje, jest tani, ale to nietrwale i zawodne. Więc się tu dlubie trochę przy motorze na kursie: trochę praktyki, trochę gimnastyki, ale to wszystko nie to...

— Ale się przecież kiedyś przewali to wszystko, tymczasem jest okazja do świetnego wyszkolenia się w fachu samochodowym.

— Tere fere... — mówi wykrzywiając się panna Ewa. Każda z nas umie już napamięć wszystkie części motoru. Ef, ef!

— No, a z praktyką?

— Praktykują tu na starych gruchotach. Ja tego nie potrzebuję. Wczoraj właśnie





rozbiło tego tam starszka. Ma już swoje 140.000 kilometrów. Szmec. Jedna z pań w czasie jazdy pokłóciła się z instruktorką, że to, powiada, zderzaki nie nie warte. Od słowa do słowa i... łomot! o drzewo. Zderzak wytrzymał, tylko motor się rozsypał. Miał już tego dość. Teraz kazali im „doprowadzić do porządku” maszynę własnymi siłami, bo mówią, że zderzaki są jeszcze całkiem dobre. Więc się dorabia samochód do zderzaków.

— Dobra szkoła — mówię.

— Lepiejby pan głupstw nie gadał, bo jak chwycę sikawkę, to panu dam szkołę! I właściwie, poco pan tu do nas przyszedł? Prosił pana kto?!

— Chciałem zaproponować wycieczkę samochodową do Zakopanego — na święta...

— No to lu! Niech pan proponuje. Ja jadę!

— Ale czym?

— Jakto czym? Niema pan samochodu?

— Stoi bez numerów — na zimę...

— No więc?

— Liczyłem na pani maszynę...

— Też się pan wybrał, przecież mówiłam już.

— Więc może tym zderzakiem się wybieremy, skoro panie tu dorobią do niego maszynę jak się patrzy.

— Idź pan! Idź pan już, mówię po dobroci! Zawsze się pana niegodziwe kawały trzymają. Że też takiego potwora święta ziemia nosił

Józef Moszyński

W ojczyźnie diamentów

W r. 1866, pewien wędrowny kupiec odwiedził znajomego osadnika w West Griqualand w Południowej Afryce i zwrócił uwagę na ładny kamyk, którym bawiła się córeczka gospodarza. Kamyk pokazany

jubilerowi w odległym mieście okazał się pięknym diamentem. Zainteresowali się tem nieliczni w tej okolicy farmerzy, zwrócili baczna uwagę na wszelkie kamienie, robiono nawet pewne półurzędowe próby poszukiwań.



Kopalnia Premier ko'ło Pretorji

Nic z tego nie wynikło, i stopniowo przestano wierzyć w możliwość istnienia pól diamentowych w południowej Afryce. Diament mógł być przywędrować w żołądku strusia z dalekich jakichś stron.

W rok potem cały kraj został zelektryzowany. Na brzegu rzeki Vaal znaleziono „Gwiazdę Południowej Afryki”, wspinały diament wartości 25,000 f. szt.

Odkryto „dolinę diamentów”. Setki, a pod koniec roku tysiące ludzi kopano gorliwie na brzegach rzeki.

za motykę. W lichych szopach sypiali klubowcy. Strój był górnika, manieri wytworne.

Takie było lato r. 1870. Niestety, diamentów nie znajdowano tyle ile się spodziewano, a że były rozłożone nadzwyczaj nierówno, niejeden z poszukiwaczy odchodził rozczarowany. Nagle rozeszły się pogłoski o odkryciu bogatych pól diamentowych na północy, w Kimberley.

Tam już zaczynała się gorączka diamentowa. Przyszłe Kimberley pokryło się płó-



Kopalnie diamentów w Kimberley

Dziwna to była kompanja. Olbrzymi koszt dojazdu, potrzeba zaprowiantowania się na czas nieograniczony, niepewne zyski wymagały środków niemałych, to też w skład pierwszych kopaczy wchodził ludźcie zamożni i wykształceni. Profesorowie lub studenci na wakacjach, oficerowie emerytowani, urzędnicy państwowi, lekarze, adwokaci ciągnęli do diamentowej doliny. Ręce przyzwyczajone do podpisywania czeków, manewrowania lancetem lub przeglądania dokumentów, przesiewały żwir lub chwytaly

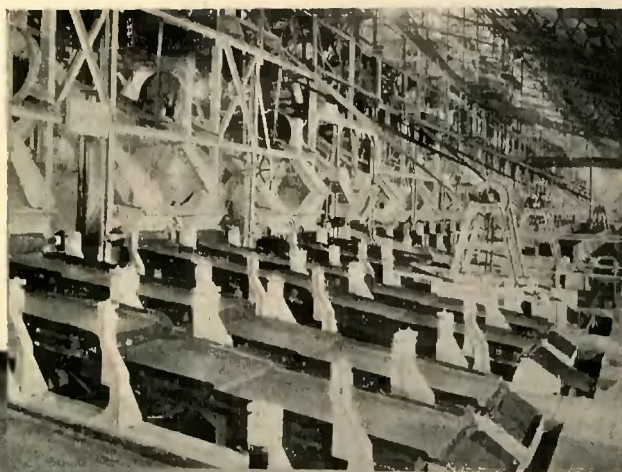
ciennymi namiotami, wozami zastępującymi mieszkania, kopaczami przesiewającymi diamentową ziemię i spekulantami, płacącymi zgóry za to, co inni mieli dopiero odnaleźć. Zjawili się też wkrótce nielegalni kupcy, przemycający diamenty wbrew prawu. Spryt ich był niewyczerpany. Nie wystarczyło ukrywanie kamieni w papierosach, fajkach i wydrażonych obcasach. Wśród tych oszustów, cieszyła się powodzeniem sztuczka z głodnym psem, mianowicie karmiono zgłodniałe zwierzę mięsem zawierającym brylan-

ty, odzyskując je następnie przez rozprucie mu brzucha.

W tem pustkowiu jadło było nieraz cenniejsze od diamentów, a brak wody był taki, że jeśli ktoś mógł sobie pozwolić na po-

Zczasem, gdy coraz głębiej się wkopywa-
no, koszty rosły coraz bardziej. Stopniowo
więc znikali pojedynczy poszukiwacze i tyl-
ko zrzeszone kapitały mogły przetrwać. Lecz
i tym było coraz ciężej. Stosunkowo do wy-

*Koryta z siłami
do przemylwania
ziemi diamentowej*



*Surowe
diamenty*



*Kalibrowanie
diamentów
w sortowni*

dobny zbytek jak kąpiel, to brał ją w spro-
wadzanej wodzie sodowej.

Praca odbywała się tu zupełnie inaczej.
Nad rzeką Vaal, diamenty unoszone prądem
były rozsypane tu i owdzie na przestrzeni
wielu mil, gdy natomiast w Kimberley,
z przyczyn natury wulkanicznej, znajdowały
się żyły diamentów, sięgające w głąb ziemi.

kopywanej ziemi, coraz mniej wydobywano
diamentów, cena ich zato spadała, bo nie
było sposobu uregulowania rynków zbytu.
Wystarczy powiedzieć, że podczas pierwsze-
go dwudziestolecia wydobyto w kraju Gri-
qua 6 tonn diamentów. Wówczas wystąpił
Rhodes, zakładając towarzystwo regulujące
ceny i wydajność.

Dzisiejsze miasto Kimberley przytyka do olbrzymiego terenu o 5 km. średnicy, na którym mieszczą się za ogrodzeniem z drutu kolczastego, kopalnie, domy mieszkalne, sklepy, warsztaty, szpitale, łaźnie i kuchnie, wszystko co jest potrzebne dla przedsiębiorstwa i 5000 górników plemienia Bantu. Są to ochotnicy, kopiący przez sześć miesięcy corocznie, aby potem wrócić do swego kraału z pieniędzmi na płacenie podatków, kupno żony wyposażonej w bydło, a choćby tylko harmonij lub organków. Ze pieniędzy mogą uzbierać dużo, świadczą o tem spore wkłady w kasie oszczędności przedsiębiorstwa.

W kopalniach Kimberley co tydzień wydobywa się dynamitem 70.000 tonn kamienistego gruntu. Następnie kruszy się wielkie bryły ziemi, a płynąca woda niesie ją do stalowych bębnow, w których siła wirowa rozdziela zbitą masę na bryłki rozmaitej wielkości. W korytach z sitami woda zabiera jałową ziemię i pozostawia kamyki i żwir. Te ostatecznie spływają na rodzaj stołów, pokrytych zgęszczoną ropą naftową. Do niej przyklepiają się diamenty, a wszelkie inne kamienie spływają z wodą.

Po tym całym skomplikowanym procesie z 70.000 tonn ziemi ze złóż diamentowych pozostaje niecałe 5 kg. diamentów.

Pewien zwiedzający kopalnię zapytał pracownika, który od czasu do czasu szerokim nożem zeskrobywał galaretkę ropną nabijaną diamentami i rzucał do kotła z wrzącą wodą, czy nie uważa swego zajęcia za bardzo emocjonujące. Zabrzmiiała spokojna odpowiedź: — Takie samo, jak nabieranie wapna kielnią...

Najtrudniej dostać się zwiedzającemu do sortowni. Tu odbywa się segregowanie diamentów według ich rozmiarów. Pewien podróżny, któremu udało się zwiedzić tę sortownię, opowiada, że na jednym tylko stole widział tam stos diamentów łącznej wagi 18.500 karatów, a więc wartości mniej więcej miliona dolarów. Oszolomiony wprost tym widokiem turysta zapytał nieco drżącym głosem któregoś z pracowników o wrażenia, jakich ten doznaje przy pracy:

— Tak, jakbym groch łuskał — odpowiadał tenże, lekko ziewając.

Jak to jednak przez zbytnią poufałość z diamentami traci się dla nich szacunek!

Olbrzymia kopalnia Premier znajduje się w Transwaalu, o 60 km. na wschód od miasta Pretorji. W ciągu ćwierć wieku wydobyła 6 i pół tonn diamentów, a w ich liczbie sławnego Cullinan'a, największy z diamentów świata. Diament ten (4 i pół cala długości i 2 cale szerokości) pocięty został na 9 dużych kamieni i kilkadziesiąt małych. Ważył prawie kilogram. Wcielony został do zbioru angielskich klejnotów koronnych.

Turysta, zwiedzający kopalnię, stojąc na brzegu olbrzymiego wąwozu, może obserwować niepowspodni widok wybuchów dynamitu w kopalni. Nagle powiewa czerwona flaga, bije dzwon i tłumy robotników rozpraszają się momentalnie, jak mrówki, szukając schronienia. Następuje do 2000 wybuchów, masy błękitnej ziemi lecą w powietrze, potem eksplozje cichną, górnicy ukazują się na nowo, aby naładować bryły na wózki i przesłać je maszyną do pokruszenia. Na „dzień dzisiejszy" wielka „ofensywa" diamentowa skończona.

Dla zrozumienia, jak w południowej Afryce diamenty ukazują się ni ślad, ni zowąd, zajrzyjmy na zachód od Johannsburga do Luksemburga. Niecałe 5 lat temu była to maleńka osada, drzemiąca w cieniu wierzb, lecz napewno nie śniąca o diamentach. Nagle zjawia się 25.000 ludzi. Stoją rzędem, czekając na urzędowy sygnał rewolwerowy, a potem pędzą, aby zatknąć tyczki na wielkiem polu diamentowem długości 25 km i szerokości 8 km.

Dziś miejscowość ta liczy 40.000 mieszkańców. Roi się od domków blaszanych, pokrytych grubym pyłem, szop mieszczących szkoły, sklepy, posterunki policyjne. Każdy kopacz zaopatruje się w tak niezbędne przedmioty jak: składany domek, chorągiewkę ze swoim nazwiskiem, wagi, szkło powiększające, zwykle narzędzia potrzebne do kopania, i... ukryty rewolwer.

Jednym się tu powiedzie, innych spotka zawód, lecz wszyscy będą grzebać w ziemi, płókać ją i łudzić się, póki nie rozejdą się pogłoski o nowych terenach, bo dla poszukiwacza diamentów pogłoski takie są tak samo potrzebne jak powietrze do życia.

W. P.

Fot. „South African Railway and Harbour"

Rozmaitości

Niesamowity warjał na maszcie

Amerikanin (oczywiście) Teddy Stanley postanowił w czasie swej bytności we Frankfurcie pobić niemiecki rekord siedzenia! Zasiadł na maszcie wybudowanym na jednym z budynków miejskich i przetrwał tam bez przerwy dni 14. Skorzy do przesady zwolennicy rekordów nazwaliby go bohaterem i „wielkim Amerykaninem”. My uważamy tytuł niesamowitego warjała za słowniejszy.



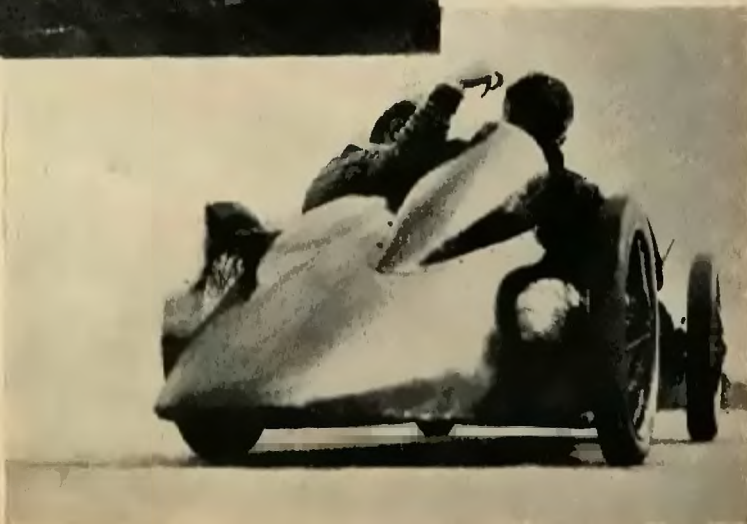
Miniaturowy samochód

brał udział w głośnych wyścigach samochodowych w Brookland (Anglia).



Maratoński turniej tancerzy

Frankfurt nad Menem (w braku innych kłopotów) zorganizował turniej wytrzymałości tancerzy. Oto oliary tego „sportu”. W przerwach uczestnicy turnieju zasypiali z przemęczenia w oczach publiczności na łózkach polowych.





*„Postrach wrogów
na morzu”*

Tak nazwano nowy model dział, zbudowanego w stanie Maryland (U. S. A.).

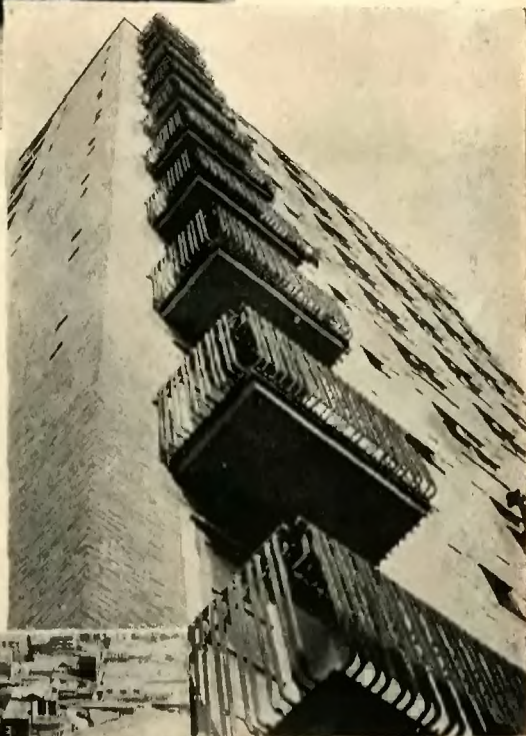
*Piękno nowoczesnej
architektury*

Linie proste, bez
zbędnych ozdób,
kształty masywne, so-
lidne.



Niezwykły most

w kształcie litery Y znajdujący się w stanie Ohio, to jedyny na świecie most tego typu.



Fotografie

„The Associated Press”

i

„Presso-Photo”



Pół-na-pół

PhotoDorys

Dział grafologa

Do bezpłatnego korzystania z działu grafologii upoważnione są osoby nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (I strona ogłoszeń), a mianowicie *prawy dolny jej róg*. Szczegółowe przepisy dla nadsyłającego swe pismo do oceny dla grafologa znajdują się w Nr. 83 na str. 131—132.

ODPOWIEDZI:

OBRACHUNEK

Ano, tak.

Rok się kończy, czyli — zbliża się okres sporządzania bilansów zaniknięcia i otwarcia. I mnie inaczej nie wypada. Radabym jeno dopełnić tego milego ale niełatwego obowiązku nie sama, lecz w łączności z Szanownymi Czytelnikami, względnie uczestnikami działu grafologii, o ile raczą nie poczytać sobie tego za ujmę.

Spędziliśmy, a w każdym razie ja spędziłam z Wami wiele miłych chwil w ciągu trzykwartalnej pracy w sympatycznym „Nakoło”. Szczególnie wiele przyjemności sprawiał mi fakt — serdecznego a poważnego i pełnego zaufania stosunku do tej gałęzi wiedzy. Za rozum i serce chwytala mnie niefrasobliwa, niejednokrotnie przemiła treść rozlicznych listów. Ale... nie, to jest mało „ale” — niemniej jest. Olóż, pomimo zapowiedzi już w artykule inauguracyjnym i wzmianki w jednym z następnych numerów wydawnictwa, krytyk — jak dotąd — napływa stosunkowo mało.

Z przykrością (a potrosze i wstydem) wyznając, że nie jestem wydajna. Czasem włączam w paradygmaty ramy wydawnictwa, częściej — niestety — czas, mówiąc wyraźnie, brak czasu. Qui s'excuse s'accuse, powiadają. Nie przestraszona tem, pragnę wyjaśnić, że tak szybko — jakbym ja chciała, a niezawodnie i każdy z Czytelników — załatwić niepodobna. Stąd wniosek, że wzajemnie mamy sobie coś do wybaczenia i dlatego przypuszczam, że mi wolno w bilansie otwarcia zapisać: wierność, zaufanie, wdzięczność. Pierwsze i drugie należy do Was, drugie i trzecie — to moje. Czy zgoda?

*

Zbliża się Nowy Rok. Nie zapowiada się zbyt jasno. Życzę więc, byśmy go przyjęli pogodnym i dumnym czołem.

Bronisława Łyszczarz.

*

„C. M.” — esteta i pozytywista. Imponującą silną, zdecydowaną, stałą wolą, w potrzebie nie brak siły przeciwstawnej. Decyzja szybka. Pracuje intensywnie (wszystko u niego jest w tej formie), lecz nie można powiedzieć, że praca to żywioł, bez którego żyć nie potrafi. Wyrozumiały, łagodny, łatwo przebacza i łatwo podlega wzburzeniu; wiele wytrzyma, gdy wybuchnie to namiętnie, zdolny w takim wypadku nawet do szaleńczego czynu, złośliwym być nie jest w stanie. Pogoda, równowaga myśli, lojalność; spokojna pewność siebie w występowaniu, dyskrecja, oszczędność i uczciwość słowa; zdanie swoje wypowiada otwarcie, nie bez oględności i delikatnego wyuczucia warunków, mając na względzie celowość. Psycholog, refleksista, błyskawicznie tempo pracy intelektu, logiki dość, retrospekcji więcej. Inwencja obok analizy. Przy całym indywidualizmie bywa formalistą i to nie tylko tam, gdzie idzie o ważne sprawy. Bytowanie lubi dostatnie, oszczędności nie stosuje, gospodarkę prowadzi dość celową i równomierną, równowaga budżetu ulega rzadko i tylko przejściowemu zachwianiu. Wrodzona szlachetność przeorała jego duszę do głębi, jest za uczuciowy przy swym realnym światopoglądzie. Całość moralnie i umysłowo pozytywna, rozsądek jest, przydałoby się trochę trzeźwości, gdyż za wiele głosu ma tutaj serce.

„Jodbe” wolę posiada szlachetną w dążeniach, silną w chceniu, odporną na ataki „łosu”, uległą i wrażliwą w stosunkach z bliźnimi, choć wrodzona predyspozycja oporu niekiedy budzi się w duszy i nie chce się poddać cudzym „argumentom”. Nie może być wymagającym względem drugich nawet tam, gdzie idzie o wypełnienie obowiązku, choć wykazuje niezwykłą sumiennność, wierność i dokładność (precyzję) w pracy. Skromny i raczej nieśmiały, nie umie się o swoje upominać, choćby krzywda była

(Dalszy ciąg na str. 151—152)



KONKURSY NAOKOŁO ŚWIATA

Rozstrzygnięcie II Konkursu p. t.

„O N C Z Y O N A?”

„Naokoło Świata” nr. 88.

W zeszycie sierpniowym „Naokoło Świata” z b. r. podaliśmy dwie kolumny rozkładu spędzenia czasu przez dwie, różnej płci, osoby. Należało wskazać, która kolumna zdradza kobietę, a która mężczyznę. Otóż odpowiedź autorska, wraz z uzasadnieniem, brzmi jak następuje:

Rozkład spędzania czasu przez kobietę podany jest w pierwszej (lewej) kolumnie, rozkład dnia mężczyzny — w drugiej (prawej). Rozkład pierwszy zdradza kobietę tem przedewszystkiem, iż czas spędzony przez nią na auto-kursach jest dłuższy o 5 minut od czasu spędzonego przez mężczyznę, ponieważ kobieta przed wyjściem na ulicę musi sobie poprawić fryzurę i przypudrować twarz. Poza tem kobieta spędza u fryzjera 25 minut, gdy mężczyzna tylko 10. Nakoniec wizyta kobiety trwa o 10 minut dłużej od wizyty złożonej przez mężczyznę.

Otrzymałmy na temat II Konkursu kilkadziesiąt odpowiedzi, a w ich liczbie tylko 21 trafnych. Nagrodę w postaci ozdobnego wydawnictwa w oprawie — „Z przeżyć i wrażeń myśliwskich” S. Krzywoszeuskiego — otrzymuje w drodze losowania

p. Tadeusz Milewski z Warszawy,

którego prosimy o zgłoszenie się do redakcji „Naokoło Świata” Zgoda 12 po odbiór przyznanej nagrody.

✱ ✱ ✱

Z pośród nadesłanych rozwiązań kilka zostało zaopatrzonych w mniej lub więcej udane komentarze. Właśnie z tych drugich dwie odpowiedzi podajemy.

P. Zofja Prządowa z Wilna pisze w swoim uzasadnieniu:

Jako dostateczny sprawdzian tego, że lewa kolumna godzinowa należy do kobiety, a prawa do mężczyzny, uważam czas poświęcony fryzjerowi. Bo sądzę, że jeszcze się taki fryzjer nie urodził, coby damskiej fryzurze w dziesięć minut dogodził, i jeszcze się taka kobieta nie urodziła, coby się na „takie coś” zgodziła...

P. Tadeusz Kotowicz - Eysymont z Olyki pisze na temat konkursu, co następuje:

Co tu bawić się w domysty!
Spójrz na rubrykę fryzjera —
Wszak to tylko naszym paniom

Tyle czasu on zabiera...
Bowiem pan (najczęściej tysy!)
Tylko chwilkę tam posiedzi,
A nad główką pięknej damy
Co leż fryzjer się nabiedził...
Więc nie łamię sobie głowy,
Bo to nie jest trudna sprawa,
Wskazuj śmiało na kolumny:
Pani — lewa, pana — prawa.

Jako nagrody za powyższe wyróżnione rozwiązania otrzymują p. Zofja Prządowa z Wilna i p. Tadeusz Kotowicz - Eysymont z Olyki „Wraki” J. Brzęczkowskiego. Prosimy więc wspomniane osoby o podanie redakcji „Naokoło Świata” swoich dokładnych adresów, pod którymi nagrody zostaną niezwłocznie wysłane.

J. K.

W przygotowaniu nowe specjalne Konkursy „Naokoło Świata” „fotograficzny” i „literacki”.

Świat pod nowym kątem

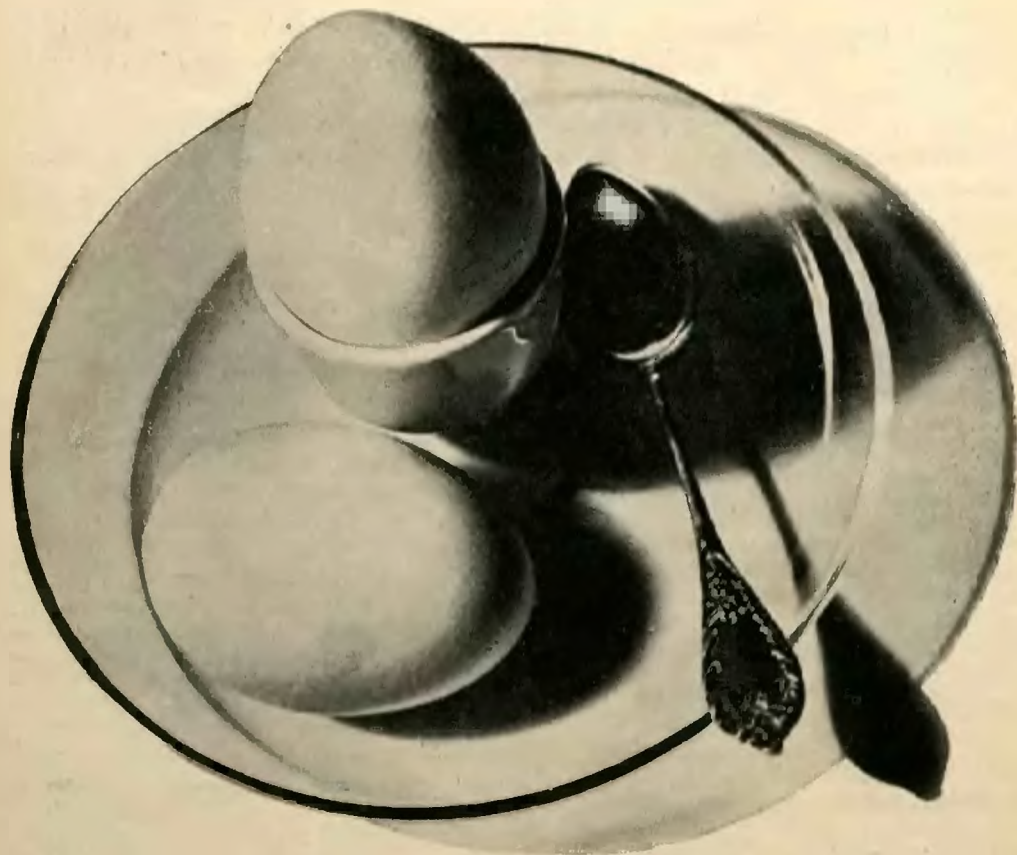
Kiedy się przegląda pisma filmowe, uderza w nich miazdząca przewaga plotki, informacji z za kulis życia aktorów, reklama „gwiazd” ekranu przez pomysłówych, praktycznych producentów, którym chodzi wyłącznie o dobry zbył towaru. Dlatego prawie unikatami są w prasie filmowej artykuły, traktujące kino jako sztukę, jako pewien środek ekspresji artystycznej.

Tymczasem kino, mimo iż eksploatuje się je bezceremonjalnie z punktu widzenia handlowego, przynosi szereg wartości i zdobyczy, powiększających zakres naszego odczuwania. Aparat filmowy podchwytuje i podkreśla takie szczegóły, które oko ludzkie pomija, „przeocza”.

Jedną z ważniejszych zdobyczy ekspresji filmowej był wynalazek „pierwszych planów”, czyli zdjęć zbliżonych (zdjęcie samej

twarzą aktora albo ręki trzymającej słuchawkę telefoniczną i t. p.). Film, oparty jedynie na zdjęciach panoramicznych, na obrazach z perspektywą, tłem — grzeszyłby teatralnością, byłby sfilmowaną sztuką teatralną, brakłoby mu swoistej dynamiki kinowej.

Przechodzenie od zdjęć panoramicznych do zdjęć zbliżonych, zmiany w ustawieniu aparatu filmowego — oto środki, ożywiające film, usuwające niebezpieczeństwo monotonii. Umiejętne manewrowanie aparatem to jedna z podstawowych zalet obrazu filmowego. Brzmi to nieco sucho, ale tak jest w istocie. Jeśli film ma być poematem wizualno-dźwiękowym — musi nas porywać oryginalnością w ujmowaniu rzeczywistości, ciekawym podejściem do zdarzeń czy przedmiotów, składających się na utwór kinema-





Porcja spaghetti na śniadanie; zdjęcie ujęte pod kątem rozwartym

lograficzny. Cel ten osiągnąć można przez pomysłowe... ustawianie (względnie poruszanie) aparatu. Rzecz prosta, że i przedmiot zdjęcia musi być interesujący (a więc m. in. pewną rolę odgrywa także aktor). Ostatni etap realizacji filmu, montaż poszczególnych obrazów, t. j. odpowiednie zestawianie najdrobniejszych fragmentów, nadaje właściwy charakter całości, decyduje o różnorodności wrażeń i ich zręcznym dozowaniu.

„Pierwszy plan jest duszą kina” — powiedział trafnie znany francuski teoretyk (i reżyser) filmowy, Jan Epstein. Niżej podpisany zaś, przed czterema laty, podkreślając znaczenie zdjęć zbliska w kinie, porównywał je do metafory: „Można je zestawiać z metaforą w poezji, a jeszcze lepiej z figurą *pars protota*, metonimią, mówiącą nieraz więcej, niż najszczegółowszy opis... Jeśli już mamy porównywać kinegrafję z którąś ze sztuk istniejących, „tradycyjnych” — to najprędzej chyba z poezją. Konstrukcja obrazów filmowych, metaforyczny

język kina posiada wiele punktów stykowych ze sposobami, używanymi w poezji”.

Tak to próbuje się tu i ówdzie podejść do kina nie od strony anegdoty i facecji, lecz od strony budowy i ekspresji artystycznej.

*

Wpływ kina na życie współczesne mógłby stanowić rozdział pracy socjologicznej; tutaj chcielibyśmy podkreślić oddziaływanie techniki filmowej na fotografię.

Minęły czasy, kiedy fotografowano mniej lub więcej sztuczne, upozowane „portretywo” grupki czy pojedyncze osoby. Z udoskonaleniem aparatu zaczęto utrzymywać przełotne sytuacje (migawki!), podchwytując ciekawe szczegóły codzienności. Dzisiaj fotografia rywalizuje skutecznie z realistycznym malarstwem — pejzażowem lub portretem. Grą światła i cieni, subtelnym cieniowaniem, ba! nawet kolorowaniem potrafi wywoływać nastrój. Fotografia przestała być bezdusznym kopjowaniem natury,

czynnością czysto mechaniczną. Spójrzmy na znane nam dobrze zdjęcia Bułhaka, Neumana lub Wieczorka. Każdy z tych autorów posiada odrębną indywidualność artystyczną, każdy inaczej interpretuje naturę.

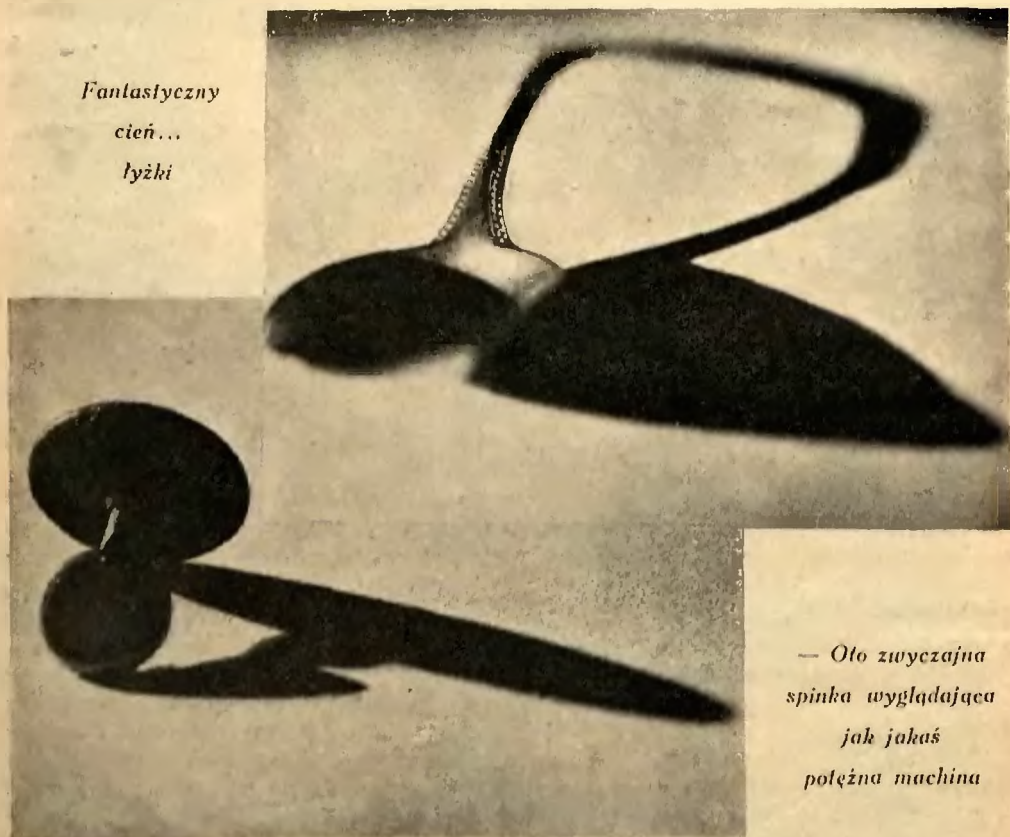
Mówiąc o wpływie kina na fotografię mamy na myśli sposób ujmowania zjawisk, wprowadzanie „pierwszych planów”, zdjęć przedmiotów drobnych, niepozornych, na które nie zwracało się dotychczas uwagi, a które wydobył z cienia aparat filmowy. Ciekawe efekty, nie spotykane w życiu codziennym, osiąga się przez zdjęcia zukosa, albo zdołu: ukazują się nieznane perspekty-

oczy Liliany Gish długo świeciły w naszej pamięci, bo też były rewelacją nowego „chwytu”, nowej metody w ujmowaniu zjawisk. Później — niemieckie filmy zaraziły się „pierwszemi planami” głów, twarzy. Film niemiecki owego czasu grzeszył powolnym, ociężałym rytmem, brakiem nerwu, werwy... „Pierwsze plany” jeszcze bardziej zahamowały akcję, reżyserzy popadli w szarżę i nową monotonię: przechodzenie od jednej twarzy do drugiej, niemal bez wytchnienia. To właśnie sprawiało, iż filmy skądinąd interesujące — nużyły. Dopiero niedawno zdołali uzyskać reżyserzy pewną harmonję w dozo-

Fantastyczny

cień...

łyżki



— Oto zwyczajna
spinka wyglądająca
jak jakaś
połączna machina

wy, nowe kształty rzeczywistości. Świat pod innym kątem widzenia!

Obecnie przyzwyczailiśmy się do tych efektów. Uważamy je za oczywiste, zwykłe. Ale przypomnijmy sobie jak wyglądał film przed dwunastu laty... Wówczas Griffith rewolucjonizował szablon reżysersko-operatorski przez rzucanie na ekran ogromnych a pełnych wyrazu twarzy. Lzawe, przerażone

waniu efektów wizualnych. Doszli do tego przede wszystkim w filmach dwukolorowych.

Rzecz ciekawa: wprowadzenie „dźwiękowości” odbiło się raczej ujemnie (zwłaszcza w pierwszym okresie) na filmach amerykańskich, dodatnio zaś na niemieckich i francuskich.

Film francuski nie posiadał oryginalnego

oblicza, przecież miał w swoim dorobku wybitne, znakomite pozycje, jak filmy Gance'a: „Oskarżam”, wręcz niezwykle „Koło udręki”

„awangardy”. Teraz niektórzy z awangardzistów wyszli poza szranki laboratoryjnych prób, klinicznych doświadczeń i potrafili



„Pierwszy plan” twarzy Zofji Batyckiej

oraz „Napoleona”. Poza tem możnaby jeszcze znaleźć parę ciekawych dzieł, głównie w dziedzinie filmu eksperymentalnego, filmu

połączyć artyzm z wymaganiami... finansistów, dzięki czemu mógł powstać taki rozkoszny obraz, jak „Miljon” René Clair'a

„Miljon” wyróżnia się starannem, kulturalnem opracowaniem zarówno strony wizualnej, jak dźwiękowej. Jest w nim jakaś świeżość, jakiś swoisty urok wydzielający się z groteskowo ujętych scen...

Różnemi drogami sztuka podbija nasze serca i umysł. Raz ukazując nam poe-

zję dnia powszedniego, wydobywając z mroku zjawiska niedostrzegane (filmy Chaplina), innym znów razem tworząc światy, nie-

mające bezpośredniego odpowiednika w życiu codziennem, a podkreślające dziwność istnienia, jak np. „Miljon” albo groteski dźwiękowo-rysunkowe...

Jar



Opona „6-tonowa” i podkowa — symbol dwóch rodzajów komunikacji

Stale ondulowanie zbyteczne!

Trwała ondulacja zapomocą grzebienia ondulacyjnego! Tylko zwykłym uczesaniem! Jednorazowy wydatek. W razie niespodobania zwrot pieniędzy za zwrotem grzebienia! Cena 5 złotych. Wysyłka za poprzedniem nadaniem (franko), lub za zaliczeniem (60 groszy na porto dołączyć). Skład główny R. Schulz, Poznań, Rybaki 7.

Pierwsza inflacja w Polsce

(Monety hebrajskie Mieszka III)

Najciekawszym zjawiskiem w numizmatyce polskiej są bezwątpienia monety hebrajskie, bity w Gnieźnie i Krakowie za panowania Mieszka III.

Samo istnienie tego rodzaju monet wydawało się tak nieprawdopodobne, iż naprzykład Lelewel nie mógł się z tem pogodzić i uznał je za falsyfikaty. Jednakże dalsze badania i nowe wykopaliska zmusiły archeologów do baczniejszego zajęcia się zagadką, która, dzięki długoletnim pracom kilku wybitnych jednostek, dziś jest już rozwikłana.

Wiemy przedewszystkiem, że monety owe nie były importowane do Polski, jak to zbyt pochopnie przez pewien czas przypuszczano, lecz powstały na naszych ziemiach za panowania Piastów. Wiemy dalej, że pierwszy puścił w obieg te dziwaczne pieniądze Mieszko III, że naśladowali go następnie inni książęta. Znamy poza tem tekst większości napisów, naogół dość trudnych do odczytania.

Jakże to się stało, że w Polsce ukazały się monety z tekstem hebrajskim? Kronikarz tej epoki, mistrz Wincenty Kadłubek bardzo wiele poświęca uwagi polityce finansowej Mieszka III, nie szczędzi słów potępienia, częstokroć nawet przesadza, lecz ani słowem nie wspomina o wyglądzie monet, kładąc nacisk na ich niską stopę menniczą.

Inne dokumenty z tych czasów również nie wspominają o literach hebrajskich na monetach. Widocznie zjawisko to nikogo nie

dziwiło, albo, co jest prawdopodobniejsze, nie zadawano sobie trudu nad odcyfrowaniem napisów. Bo też trzeba przyznać, że ówczesne stemple mincerskie tak były niezgrabne, a teksty tak poprzekręcane, nieortograficzne, pełne skrótów, że chyba tylko personel mennicy mógł wiedzieć, co oznaczają.

Dla przykładu weźmy serię denarów Ottona-Bezpryma, syna Bolesława Chrobrego,



Oryginalny brakteat, na którym zarozumiały mincarni wyrył swe imię aż w czterech kierunkach: „DBES ABRAHAM BAR ICEHAK NAGID”. Kto wie, może niepiśmienny ksiądz przypuszczał, że napis opiewa jego chwałę?

z czasów jego panowania w Czechach. Oprócz zasadniczego typu tej monety, która z jednej strony ma napis „Otto Dux”, a z drugiej „Praga Civito”, istnieje kilka odmian, różniących się ortografią. Zamieszczamy poniżej tabelkę według „Szkiców numizmatyczno-historycznych” Marjana Gumowskiego, z pominięciem znaków nie dających się odtworzyć zwykłym drukiem.

OTTO DUX	—	PRAGA CIVITO
OD.V-A.DO	—	PRAGACIVITO
OD.AOA.DO	—	PRAGACIVITA
XV.OATODUX	—	AOCCLVV
XV.AOTODUX	—	AL.OAG.VTA
OTT.DUX.X	—	PLV...LA.G
OTTO DUX	—	PRAGACVITZ



Brakteat hebrajski z XII wieku, z imieniem księcia. Rysunek wyobraża księcia obok banzły. Napis „BRACHIA”

Jak widzimy, swoboda pisowni jest posunięta do absurdu. Wypada dodać, że niektóre litery są pอมieszczane, mówiąc językiem potocznym, „do góry nogami”, inne leżą na boku, to znów mincarz wyryl je odwrotnie, wskutek czego przypominają odbicie w zwierciadle.

Rozpatrzywszy się w tabelce dojdziemy do wniosku, że społeczeństwo ówczesne nie przywiązywało do napisów na monetach żadnej wagi. Jeżeli panujący książę (mógł być niepiśmienny) wypuszczał na rynek pieniądze z błędami ortograficznymi, nie należy dziwić się Kadłubkowi, że nie zadawał sobie trudu nad odczytywaniem zniekształconych napisów.

Zresztą, jak o tem niżej wspomnimy, mnogość typów wszelakich monet była tak wielka, iż liczono się jedynie z zawartością srebra, pomijając wszelkie inne względy. Pieniądże bito w mennicach młotami ręcznymi, które tępiły się bardzo szybko, więc nie było czasu na staranne przyrządzanie nowych stempli. Rytownik, śpiesząc się, stawiał znaki zbliżone do wzoru. O szczegóły nie troszczył się wcale.

Wracając do monet hebrajskich, odcyfrowywanie napisów przedstawia jeszcze większe trudności, niż przy monetach zwykłych, tj. z tekstem łacińskim. Napisy te są przeważnie w języku hebrajskim, lecz zdarzają się łacińskie, a nawet, rzecz godna uwagi, i polskie, pisane znakami hebrajskimi.

Znakomity numizmatyk Stronczyński, jakkolwiek nie znał języka hebrajskiego, wiele poświęcił czasu tym monetom i przeprowadził ich klasyfikację. Lecz dopiero dr. Z. Zakrzewski, po kilkuletniej pracy zdołał od-

czytać i ostatecznie ustalił tekst napisów hebrajskich. Te właśnie napisy oraz sposób bicia monet najlepiej świadczą, że nikt inny, tylko Mieszko III wprowadził w Polsce ten sam typ pieniądza zwanego brakteatem, wzorowanego na monetach śląskich.

Lecz skąd przybyli do Polski mincarze-Żydzi? Nie wiemy. Może z Niemiec, gdzie wybuchły prześladowania antyżydowskie, a może i z dalszych okolic. Jedno jest pewne, że po wstąpieniu na tron krakowski w roku 1173, Mieszko III uruchomił jednocześnie dwie mennice, w Krakowie i w Gnieźnie, które zaczęły bić pieniądze z tekstem hebrajskim.

Jakże brzmią te niezwykle napisy? Powtarza się w nich najczęściej wyraz „b'racha", czyli „błogosławieństwo". Naprzykład „b'racha Mieszko" (błogosławieństwo Mieszkowi). Pisownia również jest chwiejna. Wyraz „b'racha" bywa pisany przez ch lub przez



Brakteat, wyobrażający króla z palmą w dłoni i napisem „MSZKA", czyli Mieszko. Druga połowa XII wieku



Brakteat z podpisem mincarza. Zamiast imienia króla, tekst: „ABRAHAM IJE BRACHA". W środku monety wyobrażenie orła

samo h. Imię księcia podlega licznym wariantom w rodzaju: Mieszko, Mszko, Mszka, Mszkha, Mszka lub poprostu Msz. Rysunki wyobrażają najczęściej ludzką głowę, postać z mieczem, księcia na tronie, lwy, orły i t. p. Robota prymitywna, metal cienki, stemplowany z jednej tylko strony.

Niektóre z brakteatów posiadają wybitą nazwę miasta, w którym powstały, jak na przykład napis „Gnezd Adas" wyraźnie wskazujący na Gniezno. To znów figurują podpisy mincarzy w rodzaju „leehak", czyli leek (Izaak), Abraham, Jacob i inni. Znajdujemy też dość często znane pozdrowienie hebrajskie „amasal tobl", które w żargonie Żydów polskich przeistoczyło się w okrzyk „a mazeltow!!".

Mincarze nie szczędzą pochwał księciu. Spotyka się na brakteatach takie napisy: „Mieszko sprawiedliwy książę”, „Dobra radość dla Mieszka”, „Mieszko pan doskonały”, „Błogosławieństwo i zbawienie”. Specjalną kategorię stanowią brakteaty z tekstem łacińskim, pisanym znakami hebrajskimi, jak „Mszko dukus”, lub z jednym tylko wyrazem „dukus”. Istnieje poza tem brakteat hebrajsko-polski, bodaj czy nie najstarszy zabytek naszego języka. Żyd-mincarz wybił na nim napis pisownią hebrajską: „Mszko krl plski”, czyli „Mieszko król polski”.

Lecz działalność Żydów w mennicach polskich nie ograniczyła się na panowaniu Mieszka III. Ze znalezionych monet wynika, że inni książęta również korzystali z ich usług, mamy bowiem liczne monety z błogosławieństwami hebrajskimi dla Bolesława, Kazimierza i Leszka oraz wiele innych typów, na których imię księcia nie figuruje.

Posłuchajmy z kolei, co mówi Wincenty Kadłubek o polityce finansowej Mieszka III. Czcigodny ten kronikarz był ściśle związany z dworem Kazimierza Sprawiedliwego i z tej racji ustosunkował się wrogo do jedynowładcy. Nie szczędzi więc Mieszkowi III złośliwych epitetów, nazywając jego podskarbach psami wściekłymi, zbójami i wilkami.

Bo też podskarbiowie dali się we znaki ludności, ściągając podatki z niespotykanem dotychczas okrucieństwem. Scenę taką przedstawił Kadłubek.

Do miasta zjeżdża podskarbi, rozkazuje mieszczanom znosić pieniądze.

— Co mi dajecie — krzyczy — to są plewy, a nie monety!



Brakteat z podobizną księcia z sokolem. Napis hebrajski „KHAMELECI”, czyli „król”



Jeden z najciekawszych brakteatów, bity w początkach XII wieku. Rysunek wyobraża księcia z gwiazdą obok głowy. Napis brzmi: „MAZZAL TOBI” i jest błędny. Powinno być „MAZZAL TOW”, co znaczy dosłownie „dobra planeta”, a odpowiada życzeniu „dobre szczęście”

— Wszak widnieje na nich stempel księcia — tłumaczy się mieszczaństwo — cośmy otrzymali, to i dajemy. Mennicy winą, nie nasza.

— Lepiej nie wspominać o mennicy — ostrzega podskarbi — bo łatwo możecie przepaść. Ostrożnie z taką głupią mową!

I odrzuca pieniądze ogłaszając, iż są fałszywe.

Istotnie, podskarbi miał rację. Pieniądze były fałszywe, ponieważ fałszowaniem trudniły się mennice książęce, z wiedzą i z woli księcia. Pierwsze brakteaty, jakie zaczęli wybijać Żydzi-mincarze, zawierały o 50 procent mniej srebra od będących poprzednio w użyciu denarów. Mieszko III, zorientowawszy się w łot w korzyściach, jakie może przynieść przymusowy obieg taniej monety, zaczął obniżać zawartość srebra coraz częściej, zmniejszając jednocześnie wielkość i grubość monet. Doszło do tego, że w ostatnim roku panowania tego księcia zmieniano monetę obiegową trzy razy, przyczem wszystkie poprzednio wypuszczone pieniądze traciły wartość i musiały być wymienione na nowe, znacznie gorsze.

Skarb książęcy zyskiwał na takich transakcjach kolosalne sumy, gdy tymczasem społeczeństwo ubożało z zastraszającą szybkością, fortuny topniały i ostatecznie ludność zaczęła stronić od pieniądza. Według przy-

puszczalnych obliczeń, kapitaliści podczas rządów Mieszka III wyzbyli się niemal całkowicie majątków, które zmalały do jednej dwudziestej siódmej. Oto do czego doprowadziła pierwsza w dziejach Polski inflacja.

Aby sobie uzmysłować ponury obraz ówczesnych stosunków, należy wziąć pod uwagę inne jeszcze czynniki, wpływające na zubożenie społeczeństwa. Kościół katolicki zabraniał pobierania procentów od pożyczonej sumy, lichwą trudnili się tylko Żydzi, sprowadzeni przez Mieszka III. Ambitny ten książę, widocznie odczuwający brak pieniędzy, pozwolił przybyšom ściągać 50 procent rocznie od pożyczek. Przeprowadziwszy surową kontrolę nad tego rodzaju transakcjami, Mieszko III zabierał część zysków, ołaczając opieką „Żydów książęcych”, którzy stanowili niejako jego własność.

Zrujnowane społeczeństwo nie mogło podać nawałowi podatków, za co z kolei sypały się kary. Jak powiada mistrz Kadłubek, podskarbiowie królewscy największą mieli wprawę w wymawianiu zdania:

— Zapłacisz siedmnaście!

A ponieważ nie było czym płacić, więc konfiskowano majątki, dłużników wtrącano do więzień.

Tak, czasy były ciężkie, a kryzys niewątpliwie bardziej ludziom dokuczał, niż obecny. Z czasów tych, kiedy większość ludności polskiej tkwiła w kieszeniach lichwiarzy, pozostały nam niezwykle zabytki w postaci monet hebrajskich. Dodajmy, że nigdzie poza Polską nie spotykamy w historii podobnego wypadku. Monety, którym poświęciliśmy ten szkic, stanowią największe curiosum numizmatyczne i dlatego są rozchwytywane przez zbieraczy.

*

Źródła: Z. Zakrzewskiego „O brakteatach z napisami hebrajskimi” („Wiadomości Numizmatyczne - Archeologiczne”, rok 1909, 1910), M. Gumowski „Najdawniejszy pomnik języka polskiego”, M. Gumowski „Trzy nieopisane brakteaty”, St. Smolka „Mieszko Stary i jego wiek”, H. Buchenau „Polskie, czy obce?”.



Wszyscy zapewne wiedzą,

że w tramwajach, pociągach, w teatrze, w kinie i na wszelkich zebraniach, czyli krótko mówiąc wszędzie, gdzie w jednym pomieszczeniu zbiera się więcej ludzi, zachodzi niebezpieczeństwo zarażenia się. Zarazki chorób z zakaźnością, grypy i anginy szybko przenikają przez jamę ustną i gardło do organizmu człowieka i wywołują tam bardzo przykre zaburzenia. Z tego względu należy stale, a tembardziej w obecnej zmiennej porze roku, zażywać w odpowiedniej chwili dla własnej ochrony pastylki Panllaviny. Każdy, kto raz spróbuje tych pastylek, które również i dzieci chętnie zażywają, z pewnością przyzna słusność znanym lekarzom, którzy stale i poważnie zalecają ten smaczny środek zapobiegawczy. Pastylki Panllaviny można nabywać w każdej aptece.



Tatry Polskie pod śniegiem

Fot. A. Wieczorek

Od Redaktora

Biorąc od siedmiu lat czynny udział w pracach redakcyjnych i od pięciu bez mała lat zajmując stanowisko redaktora miesięcznika „Naokoło Świata”, zdołałem żyć się z tem wydawnictwem, widząc w niem zawsze placówkę kulturalną, pełniącą swą pracę na pewnym odcinku współczesnego życia polskiego.

Zadaniem redakcji było odcinek ten rozszerzać. Pomimo „kryzysu czytelnictwa” i niejednokrotnych sugestyj w kierunku systematycznego obniżania poziomu pisma, staraliśmy się w miarę możliwości technicznych i materialnych utrzymać się „w formie”, nie było naszym zadaniem bezkrytyczne upodabnianie się do zbliżonych pozornie wydawnictw zagranicznych, idących po odmiennej linii i często schlebających mało kulturalnym lub zupełnie niskim instynktom ulicy. Byliśmy przekonani, że wśród sfer inteligencji, do których „Naokoło Świata” docierało, znajdziemy zawsze przyjaciół chętnych do czytania, nie tylko do przeglądania tak, czy inaczej pojętej sensacji. Obok beletrystyki, artykułów podróżniczych i z dziedziny wiedzy popularnej, poruszaliśmy tematy aktualne, wzięte z życia, pomyślane na szeroką skalę zainteresowań, starając się nadać im formę artystyczną.

Wiemy, że w ciągu tych kilku lat istnienia zyskało sobie „Naokoło Świata” liczne grono przyjaciół i czytelników. Obecnie, skutkiem zmian organizacyjnych, jakie zaszły w wydawnictwie miesięcznika, opuszczając nie bez żalu zajmowane dotychczas stanowisko redaktora „Naokoło Świata”, składam serdeczne słowa podziękii wszystkim p. p. Współpracownikom, Przyjaciółom i Czytelnikom, którzy w okresie mej pracy redakcyjnej darzyli redakcję niezmienną życzliwością i poparciem, zawiadamiając jednocześnie, że numer niniejszy jest ostatnim z tych, które wyszły w świat z moim podpisem.

Grudzień 1931.

Józef Moszyński

Dział grafologa

ODPOWIEDZI:

jawna — społecznej (krzywdy) możeby nie darował, choć za mało wykazuje energii, by wystąpić w charakterze mściciela lub bodaj nieustępliwego obrońcy; energii i odwagi. Lubi spokój — w stosunkach z otoczeniem łagodny i cierpliwy, choć wewnątrz łatwo kipi skutkiem wrodzonej popędlivosti. Umie być rozbrajająco szczery, ale nie z byle kim i nie o byle czym; dyskrecja muirowana. Rozsadek, przezorność, pogoda i równowaga myśli. Intelpekt dedukcyjny, zmierzający po linii lżejszego barwnego ujmowania rzeczy, rozumowanie nie zawsze ścisłe. Bardzo towarzyski, ludzki, delikatny w obejściu — w gniewie potrafi nie liczyć się ze słowem (rzadko). Gospodarka oszczędna, racjonalna, nie zawsze celowa, rzadko przewidująca, deficyt jest zjawiskiem prawie nieznanem. Indyferentyzm w ocenianiu dóbr materialnych nie widzę, ale też nie umie zabiegać o nie; nie zdradzając idealistycznego usposobienia, nie chce pracować li tylko dla zapłaty. Całość solidna, zasługuje na zaufanie.

„Niur” amalgamat, niełatwo o nim coś powiedzieć. Pelen charme'u, kurtuazji, ujmująco grzeczny, łaskawy i miły w obejściu, potrafi innym razem o tem wszystkim zgoli zapomnieć. Tajemniczy, skryty mimo serdeczności, nikt wewnątrz — nie mówiąc już o głębi (dnie) duszy — nie zbada. Nie zdradzając pospolitego egoizmu, we wszystkich posunięciach liczy się z tem, jakie to będzie miało skutki dla niego ze względu na normalne bądź materialne korzyści. Są zdolności wyliczeniowe choć nie oparte na systematyce. Rozum wkracza w królestwo uczuć lecz nie decyduje, bo choć nie brak rozsądku, trzeźwości i siły, realizmu obserwuję mało; nie mogę uchwycić kierunku ich (uczuci) ekspansji, gdyż w tej dziedzinie szczególnie, nie decyduje się na żadną wyłączość, któraby obowiązywała do zdeklarowanej linii posunąć. Umie moeno chcieć, a mimo wrażliwości, przy zamierzeniach swoich stoi z konsekwencją bliską zawzię-

tości; większe trudności niezawsze go zastają z bronią w ręku. Poczucie obowiązku jest. Zdania swego nie narzuca, często autorytatywnie wtrąca, uporu nie zdradza. Całość zawiera jednak sporo zalet, które w obliczu despotycznych, bo nieukrótanych wad, milkną i maleją.

„Aida” usposobienie wesołe, wyobraźnia żywa, fantazji nie obserwuję — ciekawe jak to było przed laty, lecz owe „rojenia” niechybnie były równie konkretne, jak te z dzisiaj. Szalenie dużo inicjatywy, jest przytem żelazna wola, obok znacznej wrażliwości usposobienia (może działać wbrew swym przekonaniom, przyciśnięty przez śmiałka lub despotę). Decyzja bywa bardzo szybka, można jednak powiedzieć, że zastanowienie, rozważa, gra rolę współczynnika w znacznej, jeśli nie przeważającej liczbie wypadków. Niezlomny w przedsięwzięciach, choćby — po refleksji — okazały się ryzykowne lub nad siły trudne. Umysł wszechstronny, żywy, większej bystrości nie znajduję ale sprytu wiele. Rozumowanie mimo niepośledniej inteligencji ściśle nie jest, wartość (jego) niezależnego sądu podnosi introspekcja. Na przezorności mu nie zbywa. Rzadko mu się zdarza mówić bez potrzeby, jednak nie tylko lubi, ale potrzebuje przyjaźni, by się móc dzielić — na dyskrecję liczyć można. Nie wykazuje większych zalet towarzyskich (mimo j. w. wesołość) — w potrzebie umie się zdobyć na wiele. Porywczy, gwałtowny, nie panujący nad sobą, bez egoizmu posuwający niekiedy swe wymagania aż do okrucieństwa lub co najmniej bezwzględności sans tact, jest bieżem dla podwładnych i bliższego otoczenia. Dopelniają miary ambicje. Sumien-uy, gorliwy, dokładny aż do pedanterji w spełnianiu obowiązków. Respekt (nie apoteoza) dla ideałów, indyferentyzm w kwestiach materialnych. Całość? byłaby pełna wartości, gdyby nie ta spotęgowana exigence — i gdyby było choć trochę panowania nad sobą.

(Dalszy ciąg w n-rze następnym)

ROZRYNKI UMYŚLOWE



27. REBUS AKTUALNY

Rozwiązać podany niżej *rebus*, którego treścią jest pewna, niedawno obchodzona przez nas, uroczystość.

A. Czyżewski i J. Tyblewski

28. SZARADKI

Ty, coś serdeczną krwią polskich rycerzy
Spłynęła, *drugie* hen, gdzieś na rubieży
Granicy Ojczyzny, gdzie czyhał pohaniec,
Stałaś, jak szaniec!

Winnas być dla nas najświetniejszym wzorem,
Jak w krwawej walce zмагаć się z naporem
Wrogów. Tyś dla nas przez ciąg życia cały
Symbolem chwały!

W *uspak* *trzeciej-pierwszej* pamiętek narodu
Dziś twoje miejsce. Ty, broniąc Zachodu,
Wpisałaś mieczem na historii kartę

Zgłoski niestarte!

Choć można tam *uspak* *pierwsze-drugie*
zimą, latem
Chodzić, rozkoszy wszelkich używać dowoli,
Choć można się zachwycać miejscowym

klimatem,
Niech się tam nikt nie śpieszy — każdy
zawód boli!
Niechże więc tam nie dąży piękna

trzecia-trzecia,
Ani wykwintny *drugi-drugi*. To nie dla nich!
Wiele tam ciepła, słońca, przestrzeni

i kwiatów,
A co jest najważniejsze ręk do pracy łanich.
Jadąc tam, weź kapitał i to niezbyt mały;
Apteczkę, sprzęty, kuźnię, broń i... siłę woli —

Kup fermę i samochód, staw dom okazały...
Za trudy będziesz kiedyś zbierał zyski z roli...

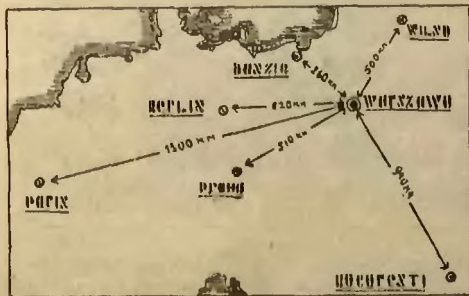
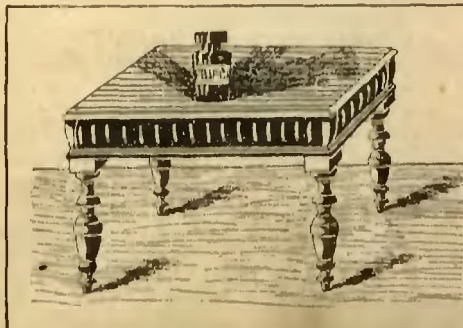
Bez *drugich*, pięknych jedwabi i tkanin,
Piękna nagością, *trzecia-pierwsza*, wielka,
Była boginią i każdy poganin
Czczył ją głęboko. Uczuć rodzicielka
Władala niegdyś, w zamierzchłej przeszłości,
Jako potężna bogini miłości!

Jak *pierwsza-druga*, zjawa,
Staje przed moim okiem
Antycznych Greków sława,
Owiana klechd urokiem...
Bo górny był i chmurny
Ich życia *trzeci*, czyny, —
Sławne popiołów urny
Zdobne w wieńce, wawrzyny...
Niezapomniany *cały*!...
W helleńskiej on historii
Pomnikiem wielkiej chwały,
Wytrwania, męstwa, glorii!...

Szaradzisto! *Trzy-ś* widział kwitnącej łan
całej?

Skromna jest, ale piękna. Jak widok umiła
Rozesłany na polach kobierzec tej białej,
A obok w szachownicy podobnej łan lila...
Pod wieczór, kiedy słońce *pierwsze-czwarte*

w ciszy,
Spojrzyj na sieć pajęczyn rozsnutą na łanie —
Ile barw i uroku! Nic ucho nie słyszy,
Jeno ryk bydła, kosy dźwięk, fujarki granie...



Jak smaczna jest dla *pierwszych-drugich*,
pożądana,
Jak cenne ziarno daje, — rzecz powszechnie
znana!...

Edward Wierchoń

Termin nadsyłania rozwiązań *Zadań 27*
i *28* upływa *31 stycznia 1932*; obowiązuje da-
ta stempla pocztowego. Rozwiązania należy
nadsyłać na pocztówkach lub z dołączeniem
takowych, na których rozwiązujący winien

podać swe nazwisko, imię i adres, ewentual-
nie godło, i skierować pod adresem: *Redak-
cja „Naokoło Świata” — Warszawa, Zgo-
da 12 — „Rozrywki Umysłowe”*.

Jako nagrody za prawidłowe rozwiązanie
„Rebusa aktualnego” lub „Szaradek” prze-
znacza redakcja w drodze losowania szereg
wydawnictw *Gebethnera i Wolffa* z serii
„Książki liljowe”.

Najestetyczniejsze rozwiązania rysunkowe
i najładniejsze rozwiązania wierszowane zo-
staną nagrodzone i zamieszczone na łamach
działu.

ROZWIĄZANIE ZADANIA 24.

„Naokoło Świata” nr. 88.

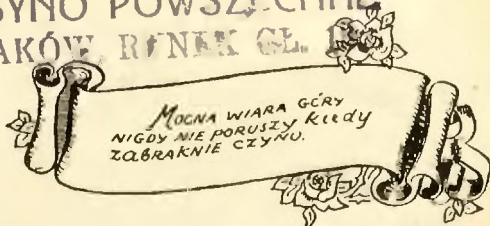
REBUS

*Moc - nawi („Iwan” wspak) - ara - gó-
ry - nig („gin” wspak) - dynie - por - uszy -
kie („Eik” wspak) - d - yzab („bazy” wspak) -
rak - ni - czynu („u n y z ce” wspak).*

*Mocna wiara góry nigdy nie poruszy, kiedy
zabraknie czynu.*

„Rebus” p. *Franciszka Grochockiego* roz-
wiązało 83 osoby, niestety, jednak nie wszy-
scy jak należy. Ostatecznie zamiast gór mogą
być skały, ale dlaczego cienie? Albo dlacz-
go naprzykład zamiast *mocna wiara* ni stąd,
ni zowąd *plynna wiara*? Płyn płynem, ale

KASYNO POWSZECHNE KRAKÓW, RYNEK GL.



Rozwiązanie „Rebusa” (Zadanie 24) wyko-
nane przez p. *Tadeusza Kotowicz-Eysymonta*
z *Ołty*

co do tego ma wiara, to chyba jednemu Bogu,
zresztą jako Istocie w tej materji kompe-
tentnej, o tem wiadomo.

Poza tem nie brakowało, jak zwykle, kil-
kanaście zastrzeżeń i, co gorsza, na niczem
nie opartych; chyba — na nieznamości rze-
czy. Temu nie trafiła do przekonania *moc*,
innemu uderzył do głowy *gin*, więc obraził
się na „nieznane mu owoce”, *dynie*, a był
nawet taki, któremu imię cara się nie spo-
dobało, bo żyje „w Wolnej i Niepodległej
Polsce!” O, biedni, biedni ludziedzi...

Wśród trafnych rozwiązań wyłowiliśmy
kilka ubranych w szatę ilustracyjną lub wiers-
zowaną. Dwa z pierwszych umieszczamy
obok, jedną — z tych ostatnich — p. *Stani-
sława Zawadzkiego* z *Warszawy* — podaje-
my niżej:

Jest to prawda, jak świat stara,
że niewiele zdziałać może
sama, choćby *mocna wiara*.
Również głosi słowo Boże:
„*Góry nigdy nie poruszy*
wiara, wiedz to, drogi synu,
kiedy ci zabraknie w duszy
odwagi do czynu”.

Nagrody otrzymują, zgodnie z ogłoszonymi
warunkami, drogą losowania:

„Rekord” *J. Meissnera* p. p.: *Zofja Melin-
ska* z *Krakowa*, *Wacława B.* ze *Lwowa*, *Eu-
genjusz Sadowski* z *Brześcia* i „*Mar*” z *War-
szawy*.

Po tomiku „*Monografij artystycznych*” lub



Rozwiązanie „Rebusa” (Zadanie 24) wyko-
nane przez p. *Tadeusza Pazurkiewicza*
z *Tarnowa*

okładce do kompletów „Naokoło Świata” (do wyboru), za wyróżnione rozwiązania zamieszczone na łamach tego działu, p.p.: Tadeusz

Kotowicz-Eysymont z Olyki, Tadeusz Pazurkiewicz z Tarnowa i Stanisław Zawadzki z Warszawy.

ROZWIĄZANIE ZADANIA 25.

„Naokoło Świata” nr. 88:

S Z A R A D A



Rozwiązanie „Szarady” (Zadanie 25) wykonane przez p. Tadeusza Pazurkiewicza z Tarnowa

Duch - w - czło - wie - ku - cza - sem - gra - jak - ca - ła - na - tu - ra.

Duch w człowieku czasem gra jak cała natura.

„Szaradę” p. Tadeusza Wydmucha rozwiązało 72 osoby, w tem 14 osób błędnie. Najczęściej spotykaliśmy następującą błędną interpretację tej szarady:

Duch w człowieku czasu gra jak cała natura...

...co, oczywiście, nie można uważać za jednoznaczne z tekstem właściwego rozwiązania. W jednym znowu rozwiązaniu uzupełniono zdanie wyrazem — *człowiecza*. Wiadomo, że w człowieku natura człowiecza, zwłaszcza jeśli chodzi o naszych Czytelników, ale poco to podkreślenie, zwłaszcza, że ilość sylab w zadaniu była ściśle ograniczona.

Jeżeli chodzi o ograniczonych, to właśnie w związku z „Szaradą” p. Wydmucha otrzymaliśmy dwunasty z rzędu list pewnego manijaka, dowodzącego z niezłomną cierpliwością człowieka niezupełnie przeciętnego, że wszystko w naszym dziale jest... *ljumel*! O co chodzi, naturalnie, dotąd nie wiemy, ale przyjmujemy z przyjemnością do wiadomości należoną uwagę p. M. O. z Warszawy w oczekiwaniu (od dwunastu miesięcy!) na „grubsze wdepnięcie” z naszej strony, celem „dokumentnego zmasakrowania” kierownika działu. Ze swej strony służymy (narazie!) następującą anegdotą:

W pewnym kinie demonstrują amerykański film, w którym pewna, cudownej piękności, gwiazda rodzaju żeńskiego poprostu się... rozbiiera. Gdy pozostaje na niej jedna ko-

szulka, przejeżdża pośpieszny pociąg i zakrywa „resztę” przed publicznością. Mało w tem oczywiście sensu, ale film jest amerykański, a publiczność, jak publiczność — jest zainteresowana i z niesłabnącem zainteresowaniem śledzi treść obrazu. Tymczasem pociąg przejeżdża... film się kończy! Otóż zauważono jednego człowieka, który codziennie przychodził do kina oglądać ten film. Zaintrygowany dyrektor kina pyta pewnego razu:

— Przepraszam pana! Dlaczego pan tyle razy ogląda film „Miłość zwycięża!”?

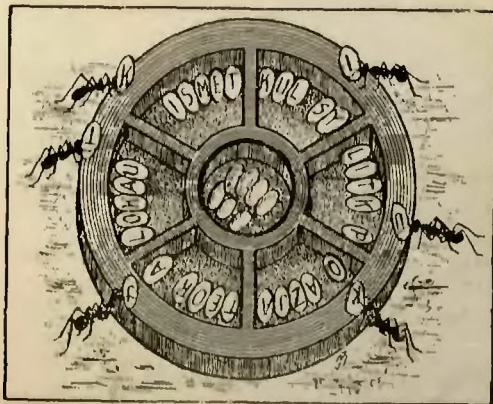
— Czekam!... Chyba kiedyś pociąg się spóźni!

Nie spóźni się!

Wracając do zadania p. T. Wydmucha — podajemy skreślony a propos „Szarady” wiersz p. Stanisława Zawadzkiego z Warszawy:

*Duch w człowieku czasem śni,
jak cała natura,
gdy w śnie zimy ona tkwi
i gdy w śnieżne pióra
srebrzyste przybiera się,
a słońce z przepychem
stroi potem szaty te
swych promieni szychem.
Lecz, gdy wiosna z owych snów
budzi ją swem tchnieniem,
nowej fali życia znów
pragnie z utęsknieniem.
Zmienia szaty śnieżny puch
na strój barwny, miły;
nieraz wówczas ludzki duch
poznaje swe siły.*

Nagrody otrzymują, zgodnie z ogłoszonymi warunkami, drogą losowania:



Rozwiązanie „Wiro-przesuwanki” (13) z VII Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Józefa Menzla z Torunia

„Ze środy na piątek” K. Makuszyńskiego p.p.: Marja Walentynowska z Łucka, A. Bryl-ski i M. K-ski z Warszawy.

Po tomiku „Monografij artystycznych” lub

okładce do „Naokoło Świata” (do wyboru) za wyróżnione rozwiązania zamieszczone na łamach tego działu p.p.: Tadeusz Pazurkiewicz z Tarnowa i Stanisław Zawadzki z Warszawy.

DO CZYTELNIKÓW DZIAŁU „ROZRYWEK UMYSŁOWYCH”

Opuszczając w ostatniej chwili, ze względów redakcyjnych, a od siebie niezależnych, stanowisko kierownika działu „Rozrywek Umysłowych”, żegnam swoich Czytelników, tusząc, że nadal będą darzyć poparciem miesięcznik „Naokoło Świata”.

Jarosław Kotwicz

Warszawa, w grudniu 1931.



(403). Wierchoń E. — Warszawa. Część „Szarad” poszła, reszta w drodze, ale nie do kosza!

(404). Polubiel J. — Opoczno. „Rebus” byłby dobry, gdyby nie zawiele liter między rysunkami. Może Pan trochę skoryguje?

(405). Babiański A. — Wilno. Pisze Pan, w związku z zad. 2 z VIII Turnieju, że... „żaden optyk w Wilnie nie zna słowa *pantasmofoks*”. Pocięszamy Pana, że nie tylko w Wilnie, ale na całym świecie i nie tylko żaden optyk, ale i żadna encyklopedia nie zna tego słowa i to z tej prostej przyczyny, że wymawia je Pan zgola fantastycznie. A brzmi to, w istocie, zupełnie prosto — *fantasmoskop*!

(406). Jassek R. — Janów Podlaski. W porządku!

(407). Kra... J. — Żyrardów. Forma, w jakiej podaje Pan rozwiązania zadań, zupełnie zadawalniająca.

(408). Osiński G. — Piotrków Trybunalski. Wszystkie rozwiązania, które nie zawierają błędów, „bierzemy pod uwagę”. Niektóre będą wyróżnione.

(409). König I. — Warszawa. Rozwiązania z jednego numeru można umieścić — oczywiście, o ile się da — na jednej kartce, a jeśli chodzi o nagrody, to na jedno może w szczęśliwym przypadku przypaść kilka różnych („turniejowa”, „miesięczna”, „specjalna”). Zadań, ale tylko dobre, chętnie wykorzystujemy.

(410). Stolarski J. — Łódź. Nagrodę otrzymał Pan za wyróżnione rozwiązania zadań z jednego numeru.

(411). D. H. — Dąbrowa Górnicza. Jest to sprawa ogólnie przyjęta, że w stosunku do redakcji należy występować nie anonimowo. Kwestja zastrzeżenia jest oczywiście Pani prawem i nikt tego negować nie zamierza.

(412). Chrapkiewicz M. J. — Limanowa. Mamy wrażenie, że jest Pan na punkcie tego germanizmu przeczulony.

(413). „Szela” — Będzin. Skąd synkopa omdlenie? Z greckiego, Szanowny Panie, a potem... z Arcła!

(414). Hardan C. — Łwów. Autorowi zadania rozwiązanie zalicza się automatycznie.

(415). Miklaszewski G. — Poznań. O jakiej „poprzedniej przesyłce” mowa? Prosimy o wyjaśnienia. Czy „N. S.” dochodzi zgodnie z poprzednim pismem?

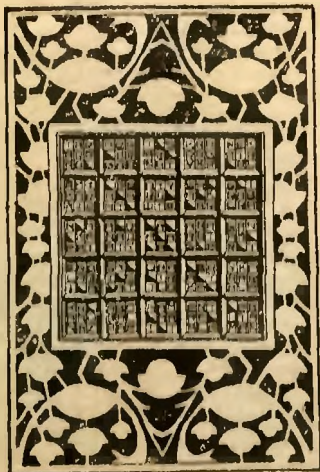
(416). Braumanowa H. — Kraków. Właśnie chodzi o niepotrzebne podwójne franko.

(417). Domański B. — Wilno. Prócz „łamiągłówek arytmetycznej” wykorzystamy wszystko. Dziękujemy!

(418). Massajada J. — Brzeziny. „Krzyżówka - logogryf” pójdzie! Dziękujemy!...

(419). Ka. Arlitewicz J. L. — Rasinów. Załatwione!

(420). K-ski M. — Warszawa. Niech sobie żyje, ale poco zakładać spokój wielu Czytelnikom? Nie pójdzie!... J. K.



Rozwiązanie „Krzyżówki-rozsypanki” (11) z VII Turnieju Zadaniowego, wykonane przez p. Tad. Pazurkiewicza z Tarnowa

